PROF. FELIKS KONECZNY

# ŚWIĘCI W DZIEJACH NARODU POLSKIEGO

TOM VI

MIEJSCE PIASTOWE — 1939
NAKŁADEM TOWARZYSTWA ŚWIĘTEGO MICHAŁA ARCHANIOŁA

**TEGOŻ AUTORA:**

O wielkości cywilizacji, w 8-ce, str. 320 — Cena 10 zł.
Rozwój moralności, w 8-ce, str. 388 — Cena 8 zł.

*Skład główny: Gebethner i Wolff, Kraków.*

wojsko saskie; miał na myśli, że ono zostanie już w Polsce i że na nim będzie można oprzeć rządy całkiem absolutne. Ale i to wojsko zostało pobite, a Szwedzi zajęli i Warszawę i Kraków (31 lipca 1702 r.) W drodze atakowali Częstochowę, lecz drobna warownia Jasnogórska odparła atak także i tym razem. Lecz August Sas, tracąc jedną prowincję po drugiej, wreszcie musiał schronić się do Saksonii.

Karol XII zażądał detronizacji Sasa. Znaczniejsza część narodu skorzystała chętnie z tej sposobności, żeby się pozbyć zdrajcy na tronie. Zamierzano ofiarować koronę Jakubowi Sobieskiemu. Przebywał on wraz z bratem Konstantym w Olawie na Śląsku, którą kupili sobie jeszcze w r. 1691. Nie troszcząc się o prawo międzynarodowe, wyprawił tam August oddział zbrojny i znienacka porwano obu królewiczów do Saksonii, gdzie byli więzieni aż do jesieni 1706 r.

W braku Sobieskich oddało stronnictwo patriotyczne koronę wojewodzie poznańskiemu, Stanisławowi Leszczyńskiemu. Był to mąż nadzwyczajnej zacności i najświatlejsza w Polsce głowa; miał cały program reform, ażeby państwo wznowić i obdarzyć rządem silnym, lecz odpowiedzialnym przed sejmem. Wykluczał, żeby wolno było rządzić narodem bez zgody narodu.

Karol XII popędził za Augustem do Saksonii i zdobył ją całą. Ale wojna północna trwała nadal i całe pięcioletnie (1704 — 1709) panowanie Leszczyńskiego składało się z ciągłych pochodów różnych wojsk we wszystkich kierunkach od Saksonii aż po Dniepr. W r. 1709 nastąpiła nagła zmiana. Król szwedzki poniósł od Piotra Wielkiego pod Połtawą taką klęskę, iż całą swą armię utracił. W ciągu kilku tygodni wszystko się zmieniło. Leszczyński musiał uchodzić za granicę, uwożąc 8-letnią córeczkę,

Marię. August zdrajca poparty przez cara Piotra, wracał do Warszawy i saskie wojska znów były w Polsce.

Wojsko polskie było rozdzielone, a nigdzie nie rozstrzygało losów wojny. Było zbyt nieliczne, a korpus oficerski zdemoralizowany. Ten król nie tylko zaniedbywał armię polską, lecz wprost demoralizował ją, żeby była jak najsłabsza, bo on chciał się w Polsce opierać nie na polskim wojsku, lecz na saskim. Przykre stosunki panujące w armii zrażały oficerów co lepszych.

Tak np. w r. 1715 wystąpił z wojska oficer chorągwi pancernej, Wielkopolanin Melchior Chyliński, ur. w r. 1694 w Wysocku. Wystąpił i wstąpił do Franciszkanów w Krakowie, przybierając imię zakonne Rafała. Zasłynął życiem ascetycznym na wzór wieków średnich z włosienicą i biczowaniem, ale też wielkim talentem misjonarskim. Władza zakonna wysyłała go na misje wewnętrzne do coraz nowych województw, od klasztoru do klasztoru i na takich wędrówkach nabożnych zeszło mu lat dwadzieścia. Wszędzie też opiekował się chorymi, zgłaszając się na pielęgniarza w najgorszych wypadkach, do chorób najwstrętniejszych. To także rodzaj żołnierki, z codziennym narażaniem się! Ale w tej służbie wiedział przynajmniej, że nie wojuje się nigdy o złą sprawę.

A tymczasem wojska saskie stały się plagą całej Polski; lada oficerzyna saski uważał się za pana i zwierzchnika ludności, a skarżyć się było niebezpiecznie, bo za oficerem stał... rząd silny. Nastała po prostu saska okupacja Polski. Sejm uchwalił wprawdzie, żeby było stale 70.000 wojska polskiego, ale król ani myślał wykonać tę uchwałę. Przebrała się wreszcie miarka cierpliwości. Nie wszyscy byli przecież przekupnymi, nie wszyscy cisnęli się do żłobu rządowego! Zawiązano w Tarnogrodzie konfederację przeciwko Sasom, ale wtedy król wezwał na po-

moc cara i 18.000 wojska rosyjskiego przybyło na pomoc wojskom saskim. Po rozmaitych przejściach bardzo przykrych, zobowiązał się wprawdzie król wycofać wojsko saskie, ale pod warunkiem, że Polska i Litwa razem nie będą mieć wojska więcej, jak 24 tysiące; liczba śmiesznie już mała, jak na ówczesne stosunki. Póki by sejm tego warunku nie przyjął, miały pozostać w kraju nadal wojska nie tylko saskie, ale też rosyjskie. Zwołano sejm. Jedyne jego posiedzenie odbyło się dnia 1 lutego 1717 r. w Warszawie. Odczytano warunki traktatu. Nikt nie zabrał głosu. Nie mógł nikt przemawiać przeciw, bo koło sali sejmowej stali cudzoziemscy żołnierze; byliby go zaraz porwali i wywieźli w niewiadomym kierunku! Za traktatem zaś przemawiać nikt nie chciał. Przesiedziano sześć godzin w milczeniu i stąd zowie się ten sejm w historii „niemym".

Tegoż roku latem wyprawił August Zdrajca zbirów, wybranych pośród oficerów swego saskiego wojska, za Leszczyńskim za granicę, żeby go zgładzić skrytobójczo. Sprawa się wydała przedwcześnie i dzięki temu król Stanisław ocalał. Winnych... obdarzono wolnością.

Leszczyńskiego spotykały jednak w Europie zachodniej wielkie honory, a młodociany król francuski Ludwik XV poprosił o rękę jego córki. W r. 1725 odbyła się jej koronacja i była królową francuską przez 43 lata do r. 1768.

Małżeństwo było szczęśliwe przez pierwszych dwanaście lat, w ciągu których królowa powiła dwóch synów i osiem córek. Słynną jest jej korespondencja z ojcem, a pisywali do siebie trzy razy na tydzień. Okazuje się z tych listów, że to byli prawdziwie święci ludzie. Król (boć Leszczyński był koronowany) doradza córce swej królowej pokorę i daje taką uwagę: „Czymże są wielcy w oczach rozsądku? czymżeż się różnią od innych ludzi? tym jednym, że stoją na wyższym cokole; a wiadomo Ci, że pod-

stawa nie stanowi wartości posągu". A wydawszy jej zalecenie: „Przejdź wszystkich poddanych cnotą", pisze dalej takie mądre słowa: „Ale zaklinam Cię, nie przesadź w żadnej cnocie, a wszystkie umiej upięknić. Któreż wzory są najchętniej naśladowane? Oto łatwe, a przyjemne! Niech więc cnoty Twoje mają powab, niech nikogo surowością nie straszą, niech każdego uprzejmością nęcą". Innym razem czytamy: „Kładź wysoko osoby, z ust których usłyszysz otwartą naganę lub zdrową radę". Stanowczo zakazywał córce mieszać się do polityki, bo w tej dziedzinie „kobieta nic dobrego nie sprawi". Natomiast podkreśla sprawę religijną, mówiąc: „Na wysokim stopniu, na którym się znajdujesz, nie ma zapewne, tak jak i wszędzie, nic ważniejszego od religii; ale co do niej, bądź taką samą, jaką byłaś od dziecinnych lat Twoich".

Któż to tak pisze? Król polski, ale prawdziwie polski, król narodowy, do królowej na najświetniejszym tronie europejskim, do Polki, swej córki. Słusznie powiedział wybitny kapłan naszych czasów, że taki list „śmiało możemy postawić obok listów podobnej treści św. Hieronima, św. Franciszka Salezego". Ale też Maria Leszczyńska cieszyła się miłością całego ludu francuskiego; gdy wychodziła, tłumy chodziły koło niej. Ludzie z prostego ludu przyjeżdżali z daleka, żeby ją zobaczyć, a przymiotnik „królowa dobra" stał się niemal jej tytułem. Przystęp do niej mieli wszyscy. Dodajmy, że spowiednika miała Polaka, księdza Trączyńskiego. Przez jego ręce przechodziły krocie na fundacje pobożne i jałmużny. A umiała zachować taki sam wysoki szczebel ducha w dalszym ciągu swego życia, gdy jej potem wypadło być „męczennicą na tronie".

Cytując list króla Stanisława Leszczyńskiego, natknęliśmy się na zagadnienie rozmaitości losu i stanowisk, jak to „cokół życia nie stanowi o wartości życia" — mówiąc

słowami „króla filozofa"(tak bowiem nazywano Leszczyńskiego na Zachodzie). Szczególnym trafem to samo zagadnienie zajmowało drugą świątobliwą Polkę w tym samym czasie i zostało rozwiązane znakomicie. Dokonała tego świątobliwa Anna Omiecińska, którą współcześni nazywali błogosławioną. Urodziła się ze szlachty w Ponikowcach na Wołyniu w r. 1709. Zrobiła bardzo wcześnie ślub czystości, a gdy ją rodzice pomimo to za mąż wydali, nie poszła do męża i tak się opierała, aż konsystorz w Łucku małżeństwo unieważnił. Potem, w klasztorze już będąc u Sióstr św. Brygidy w Podkamieniu, musiała przez półtora roku jeździć po sądach z powodu swego posagu, aż do trybunału w Lublinie. Powróciwszy stamtąd, wkrótce życia dokończyła w Kokorowie na Wołyniu, licząc zaledwie 21 lat życia. Pochowano ją w dawnym jezuickim kościółku w Krzemieńcu. A taką miała opinię świętości, iż w dwa lata po zgonie posłowie wołyńscy skłonili sejm w r. 1733, ażeby z urzędu od samego państwa polskiego poczynione były starania o kanonizację. Gdy w 17 lat po pogrzebie reformat krakowski, O. Florian Jaroszewicz, bawiąc w Krzemieńcu, uprosił, iż mu trumnę jej otwarto — powiada i zapisuje co następuje: „Widziałem z wszelką uwagą ciało jej w sukniach nic nie zepsute. A to słyszałem, że Pan Bóg niektóre łaski za wzywaniem i przyczyną tej sługi swojej wyświadcza". Następnie przeniesiono ciało jej do nowego wielkiego kościoła Jezuitów w Krzemieńcu.

O tej tedy świątobliwej Annie Omiecińskiej zachowało się następujące wspomnienie:

„Błogosławiona Anna z Omiecińskich miała wątpliwości, czemu nie jednaki los ludzi na ziemi, przez co też nie jednaka sposobność do cnoty i zbrodni, a piekło dla wszystkich występnych jedno...

„Miała sen, w którym widziała dusze żyjących znajomych przed sądem Bożym, a wszelkie ich grzechy widoczne. Bóg pozwala powracać im do ciał, by mieli czas poprawić się; a jeżeli komu źle w zawodzie jego, dozwala zawód zmienić. Narzekali wszyscy zawsze na to i owo swego stanu, ale tu wszystkie dusze zaczęły prosić, aby do końca pozwolił im zostać w takim, co go im przeznaczył, bo w żadnym innym z taką łatwością się nie zbawią. Te dusze w stanie nadprzyrodzonym już będące, zrozumiały, co znaczy rozmaitość losu, nie uwłaczająca w niczym sprawiedliwości Bożej. W ten sposób cudownym snem rozwiązane miała swe wątpliwości bł. Anna z Omiecińskich". — Prawdziwie, mądrość bije z tych słów.

Ta sama tedy kwestia zajmowała skromną zakonniczkę na Wołyniu, i króla i królową, również skromnych, chociaż na najwyższych stanowiskach. Ale szczęśliwe pożycie Marii z Leszczyńskich już się skończyło. Ludwik XV, mąż jej, odmienił się, dawał publiczne zgorszenie, trzymając sobie nałożnicę, której urządził nawet cały dwór, a do którego nie zabrakło nigdy dworaków.

W Polsce tymczasem August Zdrajca popełniał zdrady nowe. W r. 1732 zaproponował Prusom i Austrii, tj. Hohenzollernom i Habsburgom, na nowo rozbiór Polski, ażeby dynastie te zagarnęły sobie prowincje pograniczne, byle on panował nad resztą dziedzicznie i absolutnie, z władzą nieograniczoną, z pomocą saskiego wojska. Ale dynastie te, niemieckie, nie pragnęły, żeby Wettynowie stali się najpotężniejszą w Niemczech dynastią. Gdy ten plan nie doszedł, zwrócił się August Zdrajca do samych tylko Prus, ażeby popierały mu syna na następstwo tronu polskiego, ofiarując Hohenzollernom ponownie odstąpienie Prus Królewskich i części Wielkopolski. Tym razem przystał król pruski na ten projekt. Zaraz potem nastąpiła 1773 roku

śmierć Augusta II, godnego przydomka Zdrajcy.

Na elekcji oświadczyły się wszystkie a wszystkie województwa jednomyślnie, by przyzwać na tron z powrotem Stanisława Leszczyńskiego. Stanowi to niezbity dowód, jako ogół narodu pragnął reform. Wracano do programu powziętego jeszcze za Jana Kazimierza, żeby poprawić sejmowanie, i do programu Sobieskiego, żeby ustanowić wojsko stałe, a czego domagano się i za ostatniego panowania, lecz — na próżno. We wrześniu 1733 r. rozpoczął powtórnie rządy król Stanisław. Ale wojsko polskie, na którym chciałby się oprzeć, było zaniedbane w najwyższym stopniu, a przy tym zbyt nieliczne — podczas gdy syn zdrajcy, August III Sas, miał od Habsburgów przyrzeczone 12.000 posiłków wojskowych, od carycy Anny 40.000 i swoje własne wojsko saskie. W dziesięć dni po przyjeździe Leszczyńskiego już się okazały pod Warszawą przednie straże rosyjskie. Leszczyński się schronił do Gdańska, gdzie na próżno czekał na przyrzeczone od francuskiego zięcia posiłki. W lutym 1734 musiał ponownie uchodzić za granicę i w końcu zrzec się korony polskiej. August III Sas zdobył sobie Polskę wojną, wdarł się na tron polski przemocą wojsk obcych. Leszczyńskiemu ofiarowała Francja w dożywocie księstwo Lotaryngii, gdzie panował mądrze i sławnie w latach 1736 — 1766. Wdzięczna pamięć o nim pozostała w Lotaryngii dotychczas. Córka jego, „męczennica na tronie“, budziła podziw swym godnym zachowaniem wobec wybryków mężowskich, a cnoty jej przybierały jeszcze na wzniosłości.

Najmłodsza z jej córek, Ludwika, wstąpiła na ekspiację za grzechy ojca do zakonu Karmelitanek, przybierając imię Teresy od św. Augustyna. Umarła w r. 1787 w opinii świętości, uznanej następnie przez papieża Piusa IX. Odbywa się jej proces kanonizacyjny. Otóż ta córka pisała

o swej matce Marii z Leszczyńskich te słowa: „Moja mama spędzała swe dni z większą świętością, aniżeli my w klasztorze".

Byli tacy, którzy woleli, że Leszczyński nie utrzymał się na tronie i którzy z całych sił mu przeszkadzali. Grono możnowładcze, złożone przeważnie z magnatów z Litwy, łowiło ryby w mętnej wodzie. Byle oni Sasowi nie przeszkadzali, pozwalał im Sas na wszystko; król popełniał nadużycia na całe królestwo, a taki magnat w swojej prowincji. August III Sas zdrajcą nie był, moralnie stał bez porównania wyżej od ojca, ale panowanie jego odznacza się właśnie największym rozpasaniem możnowładztwa. Doszło do tego, że w kraju wrzały ciągle mniejsze i większe wojny i wojenki domowe pomiędzy magnackimi rodzinami, zazdroszczącymi sobie wzajemnie wpływów, bogactw i nadziei zbierania dalszych bogactw.

Jakżeż to się działo, że po upadku Leszczyńskiego ogół założył już biernie ręce i pozwalał wyprawiać z państwem samowolne harce nawet bez znaczniejszych protestów? Bo coraz niżej upadająca oświata nie dozwalała już szlachcie dojrzeć, gdzie kończą się sprawy prywatne, a zaczynają publiczne. Polityka stała się sekretem szczupłego grona, skupionego około absolutystycznego króla, a ogół nie brał w życiu publicznym całkiem udziału. Za Augusta III Sasa nie było już nawet sejmów. Rząd królewski sam starał się o to, by sejmy były zrywane; opłacano zawsze w tym celu jakiego posła, a zresztą wybory na posłów były prostą komedią, urządzaną przez rząd. Rządziła klika, której król powierzał rządy, a rządziła, jak się jej żywnie podobało, bo od tego był silny rząd, żeby im wszystko było wolno; mieli z góry zapewnioną bezkarność na wszystko a wszystko.

W poprzednim rozdziale zwracaliśmy uwagę na nie-

uchronne skutki długich wojen; zważmyż, że do wszystkich tamtych dołączyć jeszcze trzeba za Augusta II wojnę północną, a potem ciągłe uwijanie się po kraju wojsk obcych. Nareszcie wszyscy byli już tak wyczerpani ciągłymi wojnami, iż jedno już tylko mieli pragnienie: pokój! Niech się dzieje co chce, byle był pokój! Tak zaczęła przemawiać Polska cała.

Ubywało ludzi inteligentnych, żeby przejrzeć ten stan rzeczy. Na długich wojnach cierpi zawsze najbardziej inteligencja i ona wymiera najbardziej. Jest jej potem na każdym kroku za mało, a ta, która jest, nie może znaleźć chleba, więc się wykoleja. Przez niedostatek ludzi najoświeceńszych, utrudnioną jest wielce odbudowa kraju. Trudno, żeby się na tym znali oficerowie! Gdzie dla uczących się brak chleba, tam coraz mniej uczonych. Upadł też, i to bardzo, poziom naukowy uniwersytetów polskich; nie tylko zamojskiego i wileńskiego, ale też krakowskiego. Doszło do tego, że to, co one dać mogły, wystarczało w sam raz dla chłopców do jakiego 17 roku życia, a zatem było tego ledwie tyle, ile obecnie zowiemy wykształceniem średnim. Kogo było stać na to, wyprawiał nawet w wieku chłopięcym synów za granicę. Ale iluż takich być mogło? Nastąpił tedy upadek nauki polskiej do poziomu zaledwie średniego.

W ślad za upadkiem nauk musi upaść oświata. Oświata świeci światłem czerpanym z nauk; nauki są jej źródłem. Można by powiedzieć, że oświata jest to nauka odpowiednio rozcieńczona. A zatem gdzie nauki nie robią postępów, tam oświata będzie wkrótce zacofana, przestarzała, a po jakimś czasie zgaśnie nawet takie przyciemnione światełko i nastanie ciemnota powszechna. Tak się właśnie miało stać w Polsce.

Wraz z upadkiem nauk i oświaty musi nieuchronnie

nastać taki czas, że rządy przypadną nie koniecznie najmędrszym. Jakie w tym niebezpieczeństwo dla państwa, nie trzeba długo wywodzić! A pośród ciemnego ogółu będą się podobały hasła także coraz mniej mądre. Do rzadkości będą należały głowy umiejące rozróżnić dobre od złego, korzyść od szkody i powstanie przysłowie, że „mądry Polak po szkodzie". Oto przyczyna, dlaczego należy dbać z całych sił o rozwój uniwersytetów i niczego dla nich nie szczędzić; tak też postępują państwa zachodnio-europejskie.

Ubóstwo nie sprzyja oczywiście naukom, a popadała Polska w zubożenie coraz większe. Wielkie fortuny kilkunastu rodów możnowładczych nie wychodziły państwu na dobre, bo właściciele ich nie celowali ani nauką, ani cnotą obywatelską, a ogół ubożał bez ustanku. Handel i rzemiosła nawet upadały do najniższego już stopnia.

Wśród ślepców jednooki królem. W Polsce okresu saskiego za bogatego uchodził szlachcic wioskowy, bo miał z czego żyć, i jeszcze mu coś zostało na zabawę. Zaczęło się hulać, ponieważ przy niskiej oświacie miało się bardzo mało potrzeb. Mieszkali licho, ubierali się tylko na paradę, kuchnię mieli nie wykwintną, a przy tym ciemni i coraz ciemniejsi, nie wydali pieniądza ani na książki, ni na obrazy, ani na sprzęt w lepszym wyrobie. Wykształcenie synów kosztowało tyle, ile trzeba było na umieszczenie ich w lichej szkole sąsiedniego lichego miasteczka na jakie trzy lub cztery lata. Coraz rzadziej który kończył i taką szkołę! Był zbyt ciemny, żeby poznać prawdziwe przyjemności życia! Gdy więc miał grosza trochę więcej, lokował go... w piwnicy, na gąsiorach wina.

Zaczyna się nieznana poprzednim wiekom obrzydliwość: pijaństwo. A przykład szedł z góry i ze dworów przeszła ta klęska społeczna do chat. Społeczeństwo roz-

pite dawało się wodzić na sznurku lada spryciarzowi i brnęło w coraz większą głupotę polityczną. Nastawała też coraz większa zależność szlachty od niewielu prawdziwie zamożnych, od magnatów.

Było tym gorzej, iż znaczna część szlachty wioskowej, zwłaszcza w prowincjach wschodnich, bankrutowała skutkiem długich wojen. Namnożyło się szlachty bezrolnej. Ale taki nie szedł do handlu, do przemysłu lub rzemiosła, boby utracił szlachectwo. Szedł w służbę do bogatszego szlachcica, na rządcę, na pisarza, na dozorcę folwarcznego itp. Magnat nawet „pokojowych" tj. lokajów nie trzymał innych, jak tylko prawdziwą szlachtę. Garnięto się całymi tłumami, bo... jeść trzeba. Ideałem kariery bezrolnego szlachcica było, jeżeli dostał od wielmoża jaki folwarczek w dzierżawę, ale na to trzeba się było długo przedtem wysługiwać. Ponieważ to była szlachta, więc posiadali pełnię praw obywatelskich, i mieli głos na sejmikach powiatowych i przy wszystkich wyborach. Miał ich magnat za tanie pieniądze, ilu tylko chciał; robił więc wybory według swojej potrzeby. Gromady całe zubożałej szlachty żyjącej z jego łaski, czekały jego skinienia, gotowe każdej chwili na jego rozkaz wyjmować szable z pochew i bić, gdzie każe!

Oto skutki ubóstwa w parze z ciemnotą!

Na powszechnej polskiej nędzy bogacili się coraz bardziej Żydzi. Nie mieli jednak dostępu do stanowisk publicznych, a więc cywilizacja żydowska nie mieszała się jeszcze z naszą, z łacińską. Żydzi nie wywierali wtedy jeszcze wpływu cywilizacyjnego na nas; nie przejmowano się ich poglądami na dobro i zło. Ale zawisłość ekonomiczna od nich zaczęła się na dobre.

Na jedno trzeba zwrócić uwagę. Szlachta posprowadzała Żydów na wieś, żeby mieć pod ręką kogoś, kto u-

mie rachować, kto potrafi sprzedać i kupić, w kim można się wyręczyć w tym mnóstwie drobnych interesów, jakie się łączą zawsze z gospodarstwem folwarcznym. Nie mógł tego robić szlachcic bezrolny, bo mu nie wolno było handlować! Nie mógł robić żaden włościanin, bo nie umiał czytać, pisać, ni rachować. A tymczasem u Żydów analfabety nikt jeszcze nigdy nie widział! Tym się wiele spraw tłumaczy i wyjaśnia. Żyd zawsze przewodził chłopem dla przyczyn rozmaitych, które wszyscy znamy; ale nadto jeszcze dla jednej przyczyny, o której nie myślimy: Żyd był inteligentniejszy od chłopa, a często także od szlachcica. Nie można też było wydobywać się z niewoli żydowskiej, póki nie podniosła się oświata.

Nie brakowało po wsiach dworów zacnych, pobożnych, pracowitych, oszczędnych, skromnych, a dla ludu wiejskiego sprawiedliwych i przychylnych. Nie wszyscy byli źli. Nie brakowało ludzi porządnych w Polsce! Ale tacy musieli siedzieć cicho i walkę ze złem ograniczyć do tego, żeby w brudach rąk własnych nie maczać. Kto nie chciał siedzieć cicho, jak trusia, kto śmiałby wytykać coś rządowi i przypominać mu obowiązki względem narodu, temu biada było od silnych rządów saskich!

Nie można tedy twierdzić, jakoby Polska była upadła z braku silnych rządów; ani też, że sejmy ją zgubiły. Za Augusta III Sasa już obrad sejmowych nie było i żaden sejm rządowi nie przeszkadzał.

Bolejący nad upadkiem Ojczyzny światlejsi patrioci wpatrzeni byli w Leszczyńskiego nawet tam w Lotaryngii, jako w swą gwiazdę przewodnią. Pamiętny zawsze Polski, założył król Stanisław w swym księstwie Lotaryńskim, w mieście Luneville „szkołę rycerską“, do której sprowadzał młodzież z Polski. Nabywało się tam wykształcenia na wyższym europejskim poziomie. Z tej szkoły wyszli też

dwaj bracia Załuscy, potem biskupi, założyciele pierwszej publicznej biblioteki w Warszawie w r. 1745. W osobistych stosunkach z królem Stanisławem pozostawał też Pijar, ksiądz Stanisław Konarski, który w r. 1740 założył w Warszawie samej pierwszą prawdziwie dobrą szkołę średnią, w której nauczano przynajmniej trzy razy tyle, jak w zwyczajnych szkołach tego okresu. Zakładali Pijarzy potem więcej takich szkół. Ich wychowankowie zajęli się następnie reformą polskiego życia publicznego.

Nie każdemu dano być dobrym nauczycielem, nie każdy też lubuje się w gospodarce wiejskiej. A kto nie chciał ocierać się o zgniliznę rządów saskich, zamykał oczy i chronił się do klasztorów. Ilość ich wzrastała bardzo. Ale zakonnicy ze społeczeństwa pochodzą! Obniżył się poziom umysłowy nawet duchowieństwa i życie zakonne obniżało się. Trudno! Gdzie oświata upada, tam upada wszystko.

Jakżeż to znamienne, że młodsze pokolenie za Augusta III Sasa nie wydało już nikogo, kto by żył i umierał w chwale świętości! Dożywali tylko życia starsi z pokolenia poprzedniego. Marianin ksiądz Stanisław Wyszyński, Mazowszanin, urodzony w r. 1699, był od r. 1728 wicegenerałem, a od r. 1737 generałem swego zakonu. W Raśnie, w diecezji wileńskiej, założył dom dla nowicjuszów, wymagając od nich studiów filozoficznych. Sława Marianów rozbrzmiewała już po świecie, a król portugalski, Józef Emanuel, przysłał do księdza Wyszyńskiego z prośbą, żeby przyjechał osobiście zakon swój zaszczepić w dalekiej Portugalii na drugim końcu Europy. W r. 1750 ksiądz Wyszyński opuścił Polskę, w towarzystwie drugiego Mariana, księdza Bujalskiego. Założył nowicjat portugalski na Górze Balsamo i tam życia dokonał w r. 1757. Grób jego stał się celem licznych pielgrzymek z Portugalii i z całej Hiszpanii.

Arcybiskup Lizbony (portugalskiej stolicy) kardynał Laskaris wniósł prośbę o beatyfikację polskiego zakonnika, którego nazywa „największym cudotwórcą ostatnich wieków". Nastał okres rozwoju Marianów. Posiadali w Polsce domów zakonnych kilkanaście, w Portugalii cztery, po jednym w Hiszpanii i w Rzymie. Prośby o kanonizację Wyszyńskiego ponawiały się i ponawiają wciąż.

Drugi współczesny zakonnik, używający chwały świętości, ów dawny żołnierz i Franciszkanin, O. Rafał Chyliński, od r. 1736 był z powrotem w Krakowie, gdzie wzbudzał „ogólny podziw surowością życia, poświęceniem dla biednych i chorych podczas grasującej podówczas zarazy; w ogóle był to mąż potężny w słowie i w czynie, zwłaszcza, że Bóg odznaczył swego wiernego sługę darem wysokiej kontemplacji, cudów i innych łask nadzwyczajnych". Zgasł pod Krakowem we wsi Łagiewnikach w r. 1741.

Odtąd nie słychać w Polsce o żadnym mężu o poziomie świętości aż do roku 1768.

## 25. OSTATNI KRÓL POLSKI.

Marnym widowiskiem była nowa elekcja w r. 1764. Wystąpiono z rozmaitymi projektami reform, czym zajmowała się najbardziej rodzina Czartoryskich, pierwsza prawdziwie odrodzona z arystokratycznych rodzin wschodnich. Przez jakiś czas łudzili się, że Rosja dopomoże im; liczyli coś niecoś na niechęć Rosji przeciw Prusom. Ale caryca Katarzyna kazała im, żeby wybierać na króla byłego polskiego posła w Petersburgu i dawnego jej kochanka. Stanisława Augusta Poniatowskiego. Nie mogła trafić lepiej, ale dla interesów... moskiewskich.

Był to człowiek światły, lecz nader słabego charakteru i bez żadnych zdolności na króla, a przy tym zniewieściały. Jakżeż miał przeciwić się carycy, skoro często kołatał do niej o pożyczki pieniężne! Jeśli zaś marzyło mu się, że po dawnej znajomości uzyska coś od rządów Katarzyny, łudził się, bo caryca, sławna wszetecznica, miała od tamtego czasu przynajmniej tuzin nowych kochanków, a w polityce była bardzo twarda. Ponieważ leżało to w interesie Rosji, żeby Polska była jak najsłabsza i żeby miała urządzenia państwowe przestarzałe. Katarzyna sprzeciwiała się od początku wszelkiej reformie. Gdy zabrano się do poprawiania ustroju państwowego, caryca wyprawiła 30.000 wojska i zaprowadziła rosyjskie rządy wojskowe w Polsce.

Rzeczywistym władcą polski był poseł rosyjski, Mikołaj Repnin. Posunął on zuchwalstwo swoje do tego stopnia, iż w r. 1767, gdy w sejmie zorganizowała się silniejsza opozycja przeciw rosyjskiej samowoli, czterech najwybitniejszych opozycjonistów porwał i wywiózł w głąb Rosji, jak gdyby byli poddanymi carskimi i jak gdyby podlegali administracji rosyjskiej. A było to czterech wybitnych dostojników w państwie polskim: Hetman polny Wacław Rzewuski i syn jego Seweryn poseł podolski, tudzież dwóch biskupów: uczony Józef Załuski, biskup kijowski, twórca biblioteki publicznej w Warszawie i biskup krakowski Kajetan Sołtyk.

Wszyscy celują wyższym stopniem kultury umysłowej i należą do świeczników ówczesnej Polski. Nazwisko Załuskich jest znane zaszczytnie; dwaj bracia, obydwaj biskupi, Andrzej krakowski (przed Sołtykiem) i Józef kijowski, ludzie oddani naukom, obrócili wszystkie swoje dochody na skupywanie książek, aż w r. 1748 mieli ich na tyle, że mogli otworzyć w Warszawie pierwszą publiczną bibliotekę. Józef sam był bibliografem (nauka o książkach) niepoślednim i stał się wespół ze swym bibliotekarzem Janockim twórcą bibliografii polskiej. W r. 1763 darował biskup całą bibliotekę, zebraną przez siebie i brata, państwu polskiemu, czyli używając ówczesnego wyrażenia: Rzeczypospolitej. Tak powstała najpierwsza w całej Europie publiczna biblioteka rządowa. Mąż, który to sprawił, musi być zaliczonym do najzasłużeńszych obywateli, do pierwszorzędnych swego czasu umysłów.

Następca Andrzeja Załuskiego na biskupstwie krakowskim, Kajetan Sołtyk, nie celował w naukach, ale pałał nadzwyczajną żarliwością religijną, a niechęcią do protestantów i schizmatyków prawosławnych; nie chciał ich dopuścić do równouprawnienia i z tego powodu był nie-

nawistny Moskwie. Porwanie go i wywiezienie przedstawione jest ciekawymi płaskorzeźbami na jego pomniku w kaplicy katedry na Wawelu na prawo od wejścia (kaplica królowej Zofii Jagiełłowej).

Hetman polny Wacław Rzewuski jest również wybitną a wielce szanowną osobistością. Wychowany w postępowej szkole pijarskiej, zwiedzał obce kraje, Niemcy, Francję, Włochy i Anglię, a z podróży tych korzystał bardzo wiele. Młodziuchno został rotmistrzem, niebawem pułkownikiem, wkrótce pisarzem polnym koronnym. W życiu obywatelskim służył stanowczo dobrej sprawie: pomagał w swoim czasie Leszczyńskiemu. Wpływy miał coraz większe, zostając po kolei wojewodą podolskim, krakowskim, w końcu hetmanem polnym koronnym. Hetmaństwo otrzymał w r. 1751 w czasach najgorszych dla wojska polskiego. Wypełniał sobie życie literaturą. Pisywał wiersze, a z czasem porwał się na twórczość dramatyczną. Znawca nielada piśmiennictwa francuskiego, nadającego ton w całej Europie, należał do pierwszych, którzy naśladowania francuszczyzny użyli do odrodzenia literatury narodowej. Według francuskich reguł literackich pisywał jednak na tematy swojskie: on pierwszy układał tragedie o Żółkiewskim, o Władysławie pod Warną, on też pierwszy napisał po polsku dwie komedie: „Natręt“ i „Dziwak“. Na zamku swym w Podhorcach utrzymywał cały teatr, z którego resztki dekoracji przechowały się dotychczas. O rozległości wykształcenia literackiego Rzewuskiego niechaj świadczy fakt, że w okresie zupełnego jednostronnego zaślepienia francuskimi wzorami, a którym i on hołduje, uznawał jednak uprawnienie teatru angielskiego; znał Szekspira i cenił go! Doprawdy pod iluż to względami przyszło nam wyprzedzać innych w Europie, a bez korzyści dla siebie! W po-

łowie XVIII w. uznanie dla Szekspira, to rzecz niebywała i nadzwyczaj postępowa.

Nagle tedy podczas obrad sejmowych rozchodzi się po Warszawie wieść nie do wiary, że poseł obcego państwa targnął się na wolność osobistą dygnitarzy Rzeczypospolitej! W nocy z 13 na 14 października 1767 r. kazał Repnin porwać wszystkich czterech wyżej wymienionych i wywieźć z Warszawy. Będąc już poza Warszawą, dowiedzieli się, że są więźniami i że będą wywiezieni daleko, w głąb Rosji. Hetmana wywieźli aż do Kaługi. Tam dokonał Rzewuski przekładu Psalmów pokutnych, łącząc swe zamiłowania literackie ze szczerym duchem religijnym.

Jak mógł poseł rosyjski uwięzić kogoś w Polsce? nie pytajmy o prawo! Prawo jest dla tych, którzy są dość silni, żeby się oprzeć bezprawiu; dla słabych bezprawie może łatwo stać się prawem. Na czyn Repnina jedyną odpowiedzią stosowną byłoby wypowiedzenie Rosji wojny, a do tego trzeba by odpowiedniego wojska.

Toteż patriotyczna opozycja poczęła się zbroić. Pierwsze zmowy odbywały się na Ukrainie w województwie bracławskim u rodziny Krasińskich, z których najważniejszych było trzech: Adam, biskup Kamieńca Podolskiego; Józef, pisarz wielki koronny i syn jego Kazimierz. Pułascy agitowali między szlachtą ukrainną i podolską, porozumiewając się również z duchowieństwem okolicznym. Najcenniejszego znaleźli przyjaciela w księdzu Marku Jandowiczu, z zakonu Karmelitów Trzewiczkowych. Znali go już przedtem, bo bywał w domu Józefa, który był zarazem starostą wareckim tam na wschodzie.

Zakonnik ten słynie w historii i w poezji polskiej pod poufałą nazwą „Ojciec Marek“, pod tym imieniem opiewali go też najwięksi nasi poeci. Bo też „to postać nie tylko niezwykła, ale wprost legendarna. Bóg wylał na

niego obfitość darów natury i łaski. Mówca i apostoł płomienny, mocarny. Duch przeczysty, o polocie idealistycznym, niebosiężnym. Męczennik i bohater narodowy. Do darów przyrodzonych dodał Bóg pełnię łaski i dar wysokiej kontemplacji, modlitwy, proroctwa, cudów; blask cnót heroicznych".

Urodził się na Wołyniu w r. 1713. W dziewiętnastym roku życia wstąpił do Karmelitów w Horodyszczu, a po wyświęceniu poświęcił się głównie misjonarstwu między prawosławnymi, za co popi odpłacali mu przez całe życie największą nienawiścią. Był też w Horodyszczu kaznodzieją i magistrem nowicjatu. Następnie został przeorem w Annopolu na Wołyniu, a wreszcie zakładał nowy klasztor w Barze, i tam się przeniósł, żeby doglądać budowy. W r. 1768 fundamenty były gotowe i zaczęto stawiać mury. Tam właśnie w Barze zorganizowano się w zbrojną konfederację, od tego miejsca zwaną Barską, a to celem oswobodzenia państwa od przemocy obcych. Kapelanem jej został Kapucyn, O. Mariaphil, „znakomity kaznodzieja i niestrudzony misjonarz ludowy na Podolu i Ukrainie", lecz właściwym ojcem duchownym konfederacji stał się O. Marek. Słynne są jego kazania, prawdziwie płomienne. Nie schlebiał! karcił, podobny w tym do Skargi, wytykał grzechy bezlitośnie i zapowiadał, że bez poprawy moralnej nie będzie poprawy politycznej.

Zastanówmy się nad takim np. wyjątkiem z jego kaznodziejstwa: „Czyście sobie przedsięwzięli nużyć cierpliwość i dobrotliwość Bożą? Czyż chcecie innym narodom pokazać i dowieść, ile potrzeba grzechów, aby zgubić Ojczyznę?"

Lub w innym miejscu takie słowa: „Tać to jest tego wszędzie przyczyna, że dziś się błąkacie i walczycie, aby zdobyć to, coście przez grzechy wasze zgubili. Oby wam

to było nauką, a waszym następcom przestrogą! Jeżeli dziś płyniecie na los szczęścia na kawałku belki, pochodzi to stąd, że z przyczyny waszych błędów wielki i stary okręt o skały się rozbił!"

Groził, że „Najśw. Maria Panna, Królowa Polski, złoży niegodną siebie koronę, a panią narodu będzie schizma i luteranizm".

A słuchali go wszyscy w największej pokorze, wielmożowie i prostaczkowie. Posiadał i wywierał urok nadzwyczajny, a wszyscy czcili go, jako świętego. Co najbardziej znamienne, że podlegali temu urokowi nie tylko żołnierze-szlachta konfederacji, ale nawet lud prawosławny i co najciekawsze, za świętego, za cudotwórcę uważali go nawet rosyjscy żołnierze. Prowadził też ksiądz Marek Jandowicz życie najwyższego szczebla cnotliwości, z całkowitym zaparciem się siebie samego, a w ustawicznym obcowaniu z Bogiem.

Niestety, krótko tylko towarzyszył sprawom konfederacji barskiej. Król wysłał do Baru generała Mokronowskiego, żeby rokować z konfederacją, ale Rosja sprzeciwiła się jakimkolwiek rokowaniom i wojsko rosyjskie ruszyło zaraz pod Bar. Wtedy Stanisław August poddał się naciskowi Repnina i wyprawił kilka pułków wojska koronnego, polskiego, każąc im przyłączyć się do Moskali. Przewaga nad konfederatami była ogromna. Część wycofała się w kierunku Mołdawii, część zamknęła się w obwarowanym Barze, a część w Berdyczowie. Gdy zaś podstąpiło pod Bar wojsko królewskie pod wodzą Ksawerego Branickiego, wyszedł na wały miejskie naprzeciw niemu O. Marek w towarzystwie czterech innych Karmelitów, procesjonalnie, niosąc obraz Matki Boskiej. W krótkiej przemowie zaklinał na tę Królowę Korony Polskiej, żeby polskich żołnierzy nie prowadzić przeciwko tym, którzy

stanęli do boju w obronie wiary św. i wolności Ojczyzny. Branicki wzruszył się wówczas i od Baru odstąpił; ale natknął się na zbliżające się do miasta pułki moskiewskiego generała Apraksina i pod jego nadzorem i komendą wrócił się. Razem zdobyli Bar 20 czerwca 1768 r. Ciemne żołnierstwo moskiewskie popełniało w mieście straszliwe nadużycia, O. Marek zaś miał być rozstrzelany.

Są z tego czasu dwie legendy. Pierwsza z nich głosi, jako gdy podczas szturmu w pierwszej baterii moskiewskiej puszkarz przyłożył lont do zapału armaty, a patrzący na to z wału O. Marek armatę przeżegnał, armata została rozerwana. Druga jest genezy rosyjskiej: Kiedy żołnierze Apraksina mieli O. Marka rozstrzelać, nagle padli przed nim na kolana i prosili o błogosławieństwo.

Faktem jest, że egzekucja nie doszła do skutku. Moskale wywieźli O. Marka do więzienia w Kamieńcu, a następnie do Kijowa, gdzie przecierpiał osiem lat. A nowy klasztor karmelicki w Barze nie doczekał się już nigdy dokończenia i potem zniknęła nawet ta część murów, którą O. Marek zdążył wystawić.

W kilka dni po upadku Baru padł również Berdyczów, ale konfederacja barska zaczęła dopiero swoją historię. Tegoż jeszcze roku 1768 rozszerzyła się żywiołowo na całą Polskę i Litwę; na rozległych obszarach państwa toczyła się w setkach potyczek partyzancka wojna z pułkami moskiewskimi, zalewającymi Polskę coraz bardziej.

Rosja sięgnęła zaś do całkiem innego rodzaju broni. Przygotowała wojnę domową na Ukrainie w imię schyzmy. Przygotowania te obejmowały ciemny lud ruski, a polegały na tym, żeby go w danym razie rzucić na szlachtę i duchowieństwo katolickie w obronie zagrożonego rzekomo prawosławia. To miało się teraz przydać przeciw konfederacji barskiej, do której garnęła się cała szlachta

południowo-wschodnich województw. Setnik kozaków zaporoskich Maksym Żeleźniak i Gonta, setnik kozaków nadwornych wojewody kijowskiego, Franciszka Salezego Potockiego, użyci sprytnie za narzędzie, z pomocą ciemnych a zawistnych popów, poświęcających noże po cerkwiach na rzeź „Lachów", zorganizowali bunt krwawy kozactwa i ludu wiejskiego, podmówiwszy ich, że „panowie" polscy chcą skasować wiarę prawosławną, a więc odjąć im możność zbawienia; nie brakło przy tym i argumentów świeckich. Rzekoma obrona prawosławna zwrócona tam była głównie przeciw unii, boć łacińskich księży na Ukrainie było stosunkowo niewielu. Był to początek wznowionej walki z unią — o czym niżej obszerniej sprawę się wyłuszczy.

Starano się o to, żeby ciemne masy rozjuszyć jak najbardziej, co udało się w stopniu takim, że nawet Rosji było tego za dużo, tej Rosji, w której panowała najsroższa niewola ludu wiejskiego. Wymordowano około 20.000 ludzi, bez względu na wiek i płeć, ludzi bezbronnych, na których rzucano się z zasadzek, zaczajając się, jak na łowach na zwierza. Generał rosyjski Kreczetnikow przypatrywał się zrazu zadowolony, jak Żeleźniak ogłasza się hetmanem Kozaczyzny, mianuje się księciem Śmiły, od przywłaszczonych sobie dóbr Lubomirskiego; jak głupszy od niego Gonta zrobił się książęciem na Humaniu i nie na żarty zaczął rozdawać godności dworskie — ale długo to trwać nie mogło, bo nawet najgorszy rząd musi mieć w końcu spokój i jakiś ład koło siebie. Nadeszły surowe z Petersburga rozkazy. „Hajdamacy" zrobili, do czego byli potrzebni, zrobili nawet znacznie więcej, niż od nich wymagano, a teraz byłby z nimi tylko kłopot; więc Kreczetnikow rozprawił się krótko z hordami pijanych chłopów ruskich. Gontę kazał stracić, a Żeleźniaka zesłał na

Sybir. Osiągnięto jednak tyle, że województwa ukraińskie były istotnie na długi czas niezdatne do niczego, a wszak tam było gniazdo konfederacji barskiej.

Przeliczono się jednak, sądząc, że rzeź humańska i hajdamaczyzna będą końcem konfederacji. Pozawiązywały się z tym samym celem konfederacje po całej Polsce i na Litwie, tak że można powiedzieć o konfederacji barskiej, że ona rozszerzyła się dopiero, gdy Baru nie starczyło. Zdziwiona słuchała tych wieści Warszawa, gdy wtem nadzieje konfederacji błysnęły na nowo, bo Turcja wypowiedziała wojnę Rosji. Ośmielone tym zawiązują się nowe konfederacje po województwach, ruch wszczęty na Ukrainie sięga już Wielkopolski, wszędzie rzucają się na załogi rosyjskie i to zazwyczaj ze skutkiem dobrym.

W następnym roku 1769, ruchawka konfederacka, bynajmniej niestłumiona, poczyna budzić wątpliwości w sferach stojących bliżej króla; czy jednak nie lepiej, że ta konfederacja jest, i czy nie da się czego z tego zrobić. Faktem jest, że na radzie senatu w październiku 1769 r. podniesiono śmiało głowę i uchwalono zażądać odwołania wojsk rosyjskich. Zdawało się, że rząd połączy się z konfederacją. Lecz było to złudzenie krótkotrwałe. Stanisław August posłuchał jednak w końcu generałów carycy i coraz też większa była przewaga Rosji, tym większa, gdy król oświadczył się przeciw konfederacji. Niestety w listopadzie 1769 Kraków został zajęty przez generała rosyjskiego Drewicza, po czym generalicja konfederacka przeniosła się do Bielska śląskiego, w kraj tedy panowania Habsburgów. Nie dawali za wygraną, organizacja trwała nadal. Urządzili obóz pod górą Koneczną, która stoi w miejscu, gdzie schodzą się granice Śląska, Moraw i Słowaczyzny. Tam wydano „uniwersał bezkrólewia“, tj. obwieszczono, że nie uważają już Stanisława Augusta za swego króla

i dążyć się będzie do nowej elekcji. Generalicja przeniosła się wkrótce do Preszowa na Słowaczyźnie, a niebawem rozpoczęły się nowe boje. Pod koniec kwietnia 1771 Kazimierz Pułaski obronił Częstochowę, zniszczywszy tam pięciotysięczny korpus generała Drewicza. I Branicki wyruszył ponownie w pole z polecenia królewskiego. W czerwcu przegrali konfederaci bitwę pod Lanckoroną, w górskiej okolicy Krakowa, lecz pomimo to odzyskali w lutym 1772 r. zamek krakowski. Administracja konfederacka przeniosła się tymczasem do Cieszyna, ale w kwietniu 1772 Habsburgowie wypowiedzieli jej gościnność i kazali opuścić granice panowania austriackiego. Wnet musiały kapitulować Kraków i Lanckorona, a wreszcie dnia 11 czerwca 1772 już nawet Częstochowa.

Już też bawił przedtem w Petersburgu pruski książę Henryk Hohenzollern z planem pierwszego rozbioru Polski, którego dokonano w r. 1772 w warunkach najhaniebniejszych. Król pozostał niestety biernym świadkiem, jak wojska rosyjskie, pruskie i austriackie zajmowały ościenne prowincje polskie.

Spadały te wiadomości najgorszymi ciosami na głowę więzionego w Kijowie O. Marka. Gdy go wreszcie wypuszczono w r. 1777, powrócił do swego dawnego klasztoru w Uszomirzu, potem w r. 1783 został przeorem w Annopolu, skąd w r. 1786 w sprawach zakonu przybył do Warszawy i mieszkał na Lesznie.

Nie wiemy, jak długo przebywał O. Marek w Warszawie i czy był jeszcze w roku następnym, 1787 świadkiem przybycia i pierwszych czynów św. Klemensa Dworzaka, zwanego „apostołem Warszawy".

Jak niegdyś na początku królestwa polskiego z Czech otrzymaliśmy pierwszego naszego patrona, św. Wojciecha, podobnież przy samym końcu istnienia polskiego królestwa

„apostołem Warszawy“ stał się Czech. A naród czeski był w położeniu opłakanym.

Po bitwie na Białej Górze w r. 1620 nastało takie prześladowanie i tępienie narodowości czeskiej przez Habsburgów, iż wytępiono całą niemal szlachtę i całą inteligencję czeską; co z zniej zostało, zostało zgermanizowane. Został tylko lud wiejski, w którym przechował się przynajmniej język czeski i z którego potem odrodził się na nowo ten naród. Ale aż do połowy XIX w. narodowości czeskiej nie było, bo nie było inteligencji, która by była przejęta tym poczuciem narodowym. Gdy ktoś z ludu wybijał się, gdy szedł choćby trochę w górę, niemczył się zarazem.

Niemczył się również z zagrodników pochodzący Klemens, urodzony w r. 1751 w Taszowicach na Morawach. Morawianie nie mieli jeszcze przez całe sto lat potem pojęcia o jedności narodowej z Czechami. Nazywano rodziców Klemensa „hofbauer“, co po niemiecku znaczy „zagrodnik“ (w skrócie „hofer“, używane dotychczas w narzeczach morawskich) i stało się to jego nazwiskiem. Oddano go do terminu do piekarza, ale uciekł majstrowi, porwany chęcią nauki książkowej. Jak to zrobić, sam nie wiedział. Chował się przed ludźmi, bo skoro nie był piekarczykiem, obowiązany był jako zagrodnik, stawiać się do robót rolnych na dworskie w Taszowicach. Nie dbano jednak o niego i skoro się nie pokazywał, nie poszukiwano go. Jakoś się przeżywiał łaską dobrych ludzi w swej kryjówce, którą w wyobraźni młodzieńczej podobało mu się nazywać „pustelnią“. Przekonawszy się wreszcie, że mu ze strony dworu nic nie grozi, szukał zarobków to tu, to ówdzie i w największej biedzie przeturbował się jakoś przez lata szkoły gimnazjalnej i dotarł potem do Wiednia na studia uniwersyteckie. Tam do reszty się niemczył.

Były to czasy cesarza Józefa II (1780—1790), który przejęty był prawdziwie bizantyńskimi pojęciami o stosunku Kościoła i państwa. Urzędowo był katolikiem, bo z katolickiej pochodził dynastii i poddanych miał wyłącznie katolickich; ale w sercu wiara jego była ni w prawo ni w lewo i było mu zupełnie obojętne, czy katolicyzm, czy protestantyzm, byle tylko ta czy tamta organizacja religijna była posłuszną służką i politycznym narzędziem tronu. Pozamykał mnóstwo klasztorów, a zachowane krępował przepisami, narzucanymi przez administrację państwową. Utrudniał stosunki duchowieństwa parafialnego z konsystorzami, a biskupów z Rzymem. Mieszał się do wykonywania pieczy religijnej nad wiernymi, do wewnętrznych urządzeń Kościoła, tępił szkolnictwo zakonników, ale świeckie szkoły zakładał z funduszów kościelnych, które państwo przywłaszczało sobie coraz bardziej. Panowały wówczas prądy bardzo nieprzyjazne względem Kościoła; zaczynało się panowanie nad umysłami tak zwanego wolnomularstwa czyli masonerii, sekty mającej na celu zniszczenie Kościoła. Ponieważ Polska okazała się państwem katolickim, związki masońskie w całej Europie kopały pod Polską dołki, gdzie tylko się dało; jakoż przyczyniły się one do rozbioru polskiego państwa. Wynosili natomiast pod niebiosa króla Fryderyka pruskiego, jako „filozofa", carycę Katarzynę jako „filozofkę na tronie" i Józefa II jako „dobroczyńcę ludzkości". Tak więc dzięki temu cesarzowi cywilizacja bizantyńska wtargnęła nawet w katolicką część Niemiec. Od tego czasu nazywamy „józefinizmem" podporządkowanie Kościoła państwu, wysługiwanie się duchowieństwa urzędom państwowym, chociaż z uszczerbkiem Kościoła, przeciw prawu kanonicznemu. Tak zaś cesarz Józef przebierał i dobierał ludzi na wszystkie strony, iż po pewnym czasie miał obsadzone wszystkie

wydziały teologiczne w uniwersytetach profesorami takimi, którzy się przynajmniej nie sprzeciwiali józefinizmowi. Ważny to rozdział w dziejach Kościoła, bo resztki józefinizmu pokutowały jeszcze do niedawna.

Powyrzucani z katedr uniwersyteckich prawi katolicy, cały niemal episkopat i znaczna część duchowieństwa parafialnego, tudzież całe niemal duchowieństwo zakonne, stanęli w opozycji i tym bardziej szukali jak najściślejszych związków z Rzymem. Przede wszystkim zaś starali się jak najwięcej kleryków wyprawiać z Austrii do Rzymu na dokończenie studiów teologicznych.

W ten sposób dostało się też do Rzymu dwóch kleryków z Wiednia, Klemens Hofbauer i Tadeusz Hübl. Obydwaj wstąpili tam w r. 1784 do nowicjatu zakonu Redemptorystów. Zakon ten istniał już od lat 50, założony przez św. Alfonsa Ligourego, a specjalizujący się właśnie do walki z modnym w owych pokoleniach niedowiarstwem. Wytwarzał się w owych czasach przesąd, jakoby nauka sprzeciwiała się wierze, że więc oświata nie może pozostawać w zgodzie z Kościołem; toteż wielu sprzeniewierzało się Kościołowi tylko dlatego, żeby uchodzić za bardzo oświeconych.

Św. Alfons Ligouri, zakładając swój zakon w Rzymie w r. 1732, miał pierwotnie na myśli tylko obsługę religijną i materialną najuboższych i opuszczonych nędzarzy. Sam jednakże będąc wielkim uczonym (pozostawił po sobie wiele dzieł, cennych dotychczas), a widząc, jak właśnie uczeni świeccy poczynają odwracać się od Kościoła, skierowywał swych uczniów coraz bardziej na misje pomiędzy inteligencję i w tym właśnie kierunku nastrojony był nowicjat rzymski, gdy do niego wstępowali Hofbauer i Hübl.

Ponieważ posiadali już wykształcenie teologiczne z uniwersytetu wiedeńskiego, wystarczył im rok w Rzymie,

żeby otrzymać święcenia kapłańskie; po czym wyprawiono ich na misje na północ, aż na Pomorze tylne, gdzie od pokoju westfalskiego utrzymywały się jeszcze resztki panowania szwedzkiego. Droga wypadła przez Warszawę — i dla św. Klemensa na Warszawie się skończyła. Nie pojechał dalej, utknął w stolicy Polski. Było to w r. 1787.

Co mu się w Warszawie spodobało? Sam potem mówił, że w tym mieście „od dziecka do starca wszystko oddane rozpuście". Ale podziałał prawdopodobnie język polski. Podobny do tego, w którym go matka, uboga zagrodnica, uczyła niegdyś pacierza, przypomniał mu lata dziecinne. U nich na Morawach ich język ojczysty (o którym nawet nie wiedzieli, że jest czeskim) stanowił mowę tylko chłopstwa i służących. A tu słyszy, jak najwięksi państwo mówią językiem prawie tym samym i widzi, że w tym języku drukuje się mnóstwo książek, że po polsku spisuje się prawa i ustawy, po polsku odbywa się rozprawy sądowe, po polsku rozmawia duchowieństwo z biskupami, tylko w polskim języku porozumiewają się wszyscy urzędnicy i najwyżsi dostojnicy itp. itp. To wszystko wprowadzało go w zdumienie, bo na Morawach od dawna służył do tego sam tylko niemiecki język. Nawet król i cały dwór królewski, sami Polacy i używają polskiego języka!

Zachwycił się tym, zawstydził swego zniemczenia i pokochał tę polskość. Wyuczył się polskiego języka literackiego tak dokładnie, iż go nie można było odróżnić od rodowitego Polaka, i co więcej, przylgnął całym sercem do narodu polskiego. Tym bardziej bolał nad wadami Warszawy, która rzeczywiście brodziła wówczas w rozpuście i z tym większym zapałem jął się misji wewnętrznych. Otrzymawszy od władzy kościelnej kościół św. Benona, pracował tam z towarzyszami zakonnymi od rana do nocy w konfesjonale i na ambonie. Kościół nie mógł

pomieścić napływu wiernych. Codziennie bywało po pięć kazań, szereg mszy św., codzienna uroczysta suma i codziennie nieszpory. Ilość komunikujących doszła w jednym roku do bajecznej liczby stu tysięcy.

Z moralnością Warszawy było doprawdy nie tak źle, skoro się jeszcze dawała nawracać! Można powiedzieć, że zepsucie szerzyło się z mody, ale nie z przekonania. Zresztą w wielkich miastach bywa z reguły gorzej; ale stolica, to jeszcze nie cały kraj. Prowincja pozostała głęboko religijną, a wszędzie znać było wielki postęp oświaty w porównaniu z ciemnotą czasów saskich.

Społeczeństwo polskie przestawało być bierną masą w zakresie życia publicznego. Dojrzewało już drugie pokolenie ze szkół reformowanych przez księdza Konarskiego. Pierzchnęła ciemnota, mieliśmy już na nowo świetnych pisarzów, poetów, uczonych. Podnosił się na nowo uniwersytet Jagielloński, po czym nastąpiłaby także reforma w Wilnie i w Zamościu. Powstała komisja Edukacyjna, która była pierwszym w Europie ministerstwem oświaty i pozakładała pierwsze w Europie szkoły publiczne państwowe. Oświecone społeczeństwo inne też wyznawało zasady, niż ciemna szlachta poprzedniego pokolenia. Mijały czasy, w których szlachcic uważał, jako on stworzony jest z innej gliny, niż mieszczanin lub włościanin. Największy uczony tych czasów, Stanisław Staszic, sam mieszczanin, nawoływał wcale nie na próżno, żeby uznać równość obywatelską wszystkich stanów, wszystkich mieszkańców kraju.

W r. 1774 wystąpiono na sejmie z wnioskiem, żeby do rządowych komisji skarbowych powołać po dwóch kupców. Z wniosku samego widać, że uprzedzenia przeciw stanowi miejskiemu poczynały pierzchać. Rzecz prosta: człowiek oświecony nie mógł ich hodować. Nałożono na komisje skarbowe obowiązek popierania handlu i prze-

mysłu; rozumiano więc, że nie o to chodzi, żeby skarb napełnić podatkami, nie pytając obywatela, na ile go stać, lecz o to, żeby obywatelowi dostarczać sposobności i otwierać mu drogi do dobrobytu, a wtenczas podatki i tak będą wzrastać, tym bardziej, że nie będą ciążyły obywatelowi zamożnemu. Takie postępowe pojmowanie skarbowości państwowej wiodło do opieki nad zawodami miejskimi i do zasadniczej zmiany pojęć o „łokciu i kwarcie", których ujęcie w celach zarobkowych hańbiło dotychczas szlachcica i groziło mu utratą „klejnotu szlacheckiego". Na sejmie tegoż 1774 r. stanęła uchwała, że „szlachcic bawiący się wszelkiego rodzaju kupiectwem, szlachectwa swego utracać nie będzie".

Był to przełom epokowy. Zdając sobie z tego sprawę, łatwiej zrozumiemy, jak w krótkim przeciągu czasu mogła Polska dokonać nadzwyczajnych postępów w dziedzinie miejskich zajęć i urządzeń. Wyznaczono „osobne komisje dobrego porządku" celem uporządkowania gospodarki miejskiej, gdzie tego zachodziła potrzeba; mianowano potem stałych 15 komisarzy do tego, dopomógłszy walnie kilkudziesięciu miastom, a wszystkim dostarczając przykładu. W r. 1777 zjawia się nawet pomysł powszechnego ubezpieczenia od pożaru.

Powstają liczne wielkie domy handlowe i banki (najsłynniejsze: Teppera, Prota Potockiego, Kapostasa), nieznane jeszcze gdzie indziej obroty na pożyczki hipoteczne, na zaliczki eksportowe i rozmaite formy nowoczesnego kredytu. Cóż powiedzieć, że w Polsce ówczesnej zawiązywały się spółki handlowe w formie znanej tylko Anglikom, a mianowicie spółki akcyjne. Wszak pierwszymi w Polsce papierami kredytowymi były akcje „kompanii manufaktur wełnianych", której statut podpisywali między innymi b. kanclerz Andrzej Zamojski (zrzekł się kancler-

stwa, żeby nie podpisywać traktatu rozbiorowego) i brat królewski, książę Michał Poniatowski. W r. 1787 powstaje „Społeczeństwo fabryki płóciennej krajowej“, w którego statucie czytamy na czele takie wyrazy: „Subskrypcję przedsięwzięliśmy nie tak chęcią zysków, jak raczej czystą intencją uczynienia naistotniejszej krajowi przysługi“. Niesposób wyliczać tu choćby ważniejszych tylko fabryk, zakładanych pod ten czas gęsto, bo współzawodniczyła w tym cała niemal warstwa możnowładcza, niosąca chętnie swe kapitały na rozwój przemysłu, i dająca dobry przykład uszanowania „łokcia i kwarty“. Nie ma niemal takiego rodu magnackiego, który by nie brał udziału w tym ruchu przemysłowym. Jakżeż potężnym był prąd do reform, skoro zreformował warstwę możnowładczą; a stało się to bez przewrotów społecznych, bez rewolucji, bez znęcania się nad kimkolwiek. Powstały tedy fabryki sukna, płócien, mebli, fajansów, kapeluszy, powozów, siodeł, saletry, kotłów, świec, zwierciadeł, kobierców, szkieł zwykłych, kolorowych, huty szklanne, warsztaty do budowy statków rzecznych, piecyska do wytapiania rudy żelaznej i innej, fabryki mydła, pończoch, pasów, kos, plantacje tytoniu i fabryki „tabaczne“, potem kuźnice i w końcu nawet fabryka stali itp. Około r. 1780 było w Polsce fabryk tkackich 71, wyrobów chemicznych (prócz farbiarni) 8, fabryk machin i narzędzi 12, szkła i fajansu 11, papieru i obić tapetowych 17, garbarń fabrycznych 13, piecysk hutniczych 42, fabryk powozów 11 itd. Mniejszych fabryk w ręku szlachty wioskowej znajdowało się około 300, nie licząc wcale gorzelni i tartaków. W r. 1783 liczono w samej Wielkopolsce 948 warsztatów sukienniczych; niechaj ta liczba pomoże do nabrania wyobrażenia o stanie naszych miast przed zabraniem ich pod obce rządy; niechajże to świadczy, że obcy władcy nie zastali Polski wcale pusty-

nią, a miasta zmierzały w najlepsze do rozkwitu. Wszak powstawały już spółki handlowe na wywóz polskich towarów na Wschód, do Mołdawii i do południowej Rosji, w którym to celu ustanowiono polski konsulat w Chersoniu, a zanosiło się na szereg dalszych konsulatów.

Pierwsza ustawa wekslowa uchwaloną była na sejmie 1774 r. a motywowana jest, „aby handel i kredyt mu potrzebny utrzymać“. Podobnież zdawano sobie sprawę, że potrzebne są do rozwoju handlu i przemysłu dobre komunikacje, a piecza o drogi lądowe i wodne przynosi zaszczyt ówczesnemu rządowi polskiemu. Ofiarnością hetmana Michała Ogińskiego wykopano kanał, zwany na mapach polskich słusznie od jego imienia, łączący Szczarę z Jasiołdą na Polesiu. Pochłonęło to dzieło 12 milionów złp., lecz nie wyczerpało ofiarności i zapału Ogińskich, skoro syn hetmana dodał jeszcze kanał pod Stetyczowem. Pomocnikiem w przygotowaniach, wspólnikiem w ponoszeniu kosztów, a duszą w wykonaniu dzieła był miecznik piński, Butrymowicz. Doczekał się tej pociechy, że sam pierwszy przeżeglował całą drogę z Pińszczyzny do Warszawy i Gdańska. Za tym przykładem poczęto urządzać kanały w kilku innych stronach kraju; kwestia komunikacji wodnych, podnoszona za naszych czasów z naciskiem, jako wymaganie postępu, znaną tedy była doskonale przodkom naszym pod koniec XVIII w. Tym bardziej pilnowano naprawy dróg lądowych i rozszerzania ich sieci.

Poczta polska cieszyła się jak najlepszą opinią u cudzoziemców. Mamy świadectwo Rosjanina (późniejszego wicegubernatora wileńskiego Frizla), który pisał o tym: „Kto tylko podróżował w Polsce, wie z doświadczenia, że urządzenia pocztowe w Polsce i Litwie były tak dobre, że lepszych żądać nie podobna“. Jeden Niemiec (Schulz) radził swym rodakom, żeby nie jeździli do Rosji przez

Berlin i Królewiec na Kłajpedę, lecz na Polskę, bo i prędzej dojadą i wygodniej. Drugi Niemiec (Biester) nie może się wydziwić bezpieczeństwu w podróżach przez Polskę. Pisze, że jeden człowiek może przewieźć daleko bez niebezpieczeństwa napadu krocie, a nawet można największe sumy powierzyć po prostu woźnicy. Faktem jest, że wpływy do kasy centralnej rządowej w Warszawie zwożono co kwartału z prowincji na zwykłych wozach, a bywały to sumy milionowe; eskortę stanowiło dwóch strażników, a nieraz nawet jeden tylko... Uczony Anglik, profesor uniwersytetu w Cambridge, słynny Coxe, poświadcza również, że w podróży przez Polskę nic mu nie zginęło, chociaż nieraz musiał powóz zostawić na noc na dworze bez dozoru. Uczciwość należała do natury ludu polskiego.

Społeczeństwo polskie znajdowało się na dobrej drodze: coraz lepsze i bardziej uczęszczane szkolnictwo zapewniało przybytek umysłów światłych a postępowość okazana w tylu materiach, dawała rękojmię, że zdrowe przekonania niezawodnie zwyciężą.

Większością zwolenników reform rozporządzał szczęśliwym zbiegiem okoliczności sejm 1776 roku, gdy poruczał Andrzejowi Zamojskiemu opracowanie zbioru praw sądowych (kodeks cywilny, kryminalny, i przewód sądowy). Tuszono, że w tym zakresie będzie się można ruszać swobodnie.

Andrzej Zamojski, mąż wielkiej zacności i podniosłości ducha, jakich dzięki Bogu w Polsce nigdy nie brakło, był kanclerzem w latach pierwszego rozbioru i złożył swą godność, nie chcąc przykładać pieczęci do uchwał sejmu rozbiorowego. Jakim otoczony był szacunkiem całego narodu, świadczą zaszczytne słowa, wpisane w konstytucję (tj. prawomocne uchwały) sejmu 1776 r., że powierza się prace

około nowego kodeksu jemu, jako „mającemu cnotę i przymioty, do tego dzieła sposobnym go czyniące". Gdzie w całym świecie poza jedną Polską, wpisywano w akty publiczne porachowania z cnoty?! Eks-kanclerz, złożywszy przy sobie szczęśliwie dobrane grono prawników (Józef Wybicki, Michał Węgrzecki, Antoni Rogalski), zdążył wykonać swe zadanie w ciągu dwóch lat, i w r. 1778 ogłosił drukiem kodeks nowy, nie przedstawiając go urzędowo sejmowi, umyślnie, żeby mieć jeszcze dalsze dwa lata do wypróbowania i przygotowania opinii publicznej.

„Zbiór" wprowadzał sporo nowości na korzyść stanu miejskiego i wieśniaczego, ukracając przywileje szlachty. Zbierała się wprawdzie opozycja na sejm 1780 roku, lecz byłaby w mniejszości i nowy kodeks byłby przeszedł. Ale o większość dla opozycji starał się zawczasu rosyjski poseł Stackelberg. W depeszy do „imperatorowej" zwrócił od razu uwagę, że należy projekt Zamojskiego uczynić niemożliwym; otrzymał też z Petersburga upoważnienie, żeby protestować. Sypały się ciągle ruble rosyjskie na Polskę i Litwę za usługi polityczne; teraz posypały się podwójnie, potrójnie zalewały sejmiki wyborcze, żeby nie wychodzili z wyboru zwolennicy Męża „mającego cnotę". Niespodzianie jakby zmieniła się opinia; na sejmie 1780 r. Zamojski uchodził u większości za człowieka godnego nie pochwał, lecz potępienia — i kodeks odrzucono. Kto go odrzucił? Zaprzedańcy moskiewscy — sami bowiem szczerzy zwolennicy wyłączności szlacheckiego przywileju nie byliby postawili na swoim, słabsi z roku na rok i coraz nieliczniejsi. Polska i Litwa pozostawione samym sobie byłyby załatwiły nie tylko tę sprawę pomyślnie! Nawet odrzucony w roku 1780 kodeks Zamojskiego byłby wrócił po niedługim czasie, gdyby nie Moskwa.

Nie przynosi więc upadek tego kodeksu wcale ujmy

owemu pokoleniu, ale powstanie go przynosi mu zaszczyt. Dostarczyły wypadki niebawem dowodu niewątpliwego, że zwolennicy dawnego trybu rzeczy rzeczywiście tracili znaczenie i wpływy, i byliby utracili je do reszty, gdyby nie Rosja. Przewrotności wroga na tym nie koniec. Tu zaczyna się fałszowanie historii polskiej. Sami przeszkodzili zmianie formy rządu, a ogłosili na świat cały, że Polska musiała upaść dla złej formy rządu, ba! że z tego powodu upadek Polski pożytecznym był dla postępu Europy! Odrzucenie kodeksu Zamojskiego podano za dowód, że Polska była zacofaną „bez ratunku". A kto postarał się o odrzucenie? Kto działał przekupstwem i gwałtem? Widocznie odrzucenie nie było zbyt pewne, skoro trzeba było sztucznie je sprowadzać.

Fałszowanie historii polskiej nie pozostało niestety bez wpływu na nas samych. Można w polskich pracach spotkać się z wywodami, traktującymi uchwałę sejmu r. 1780, jakby wynik istotnego stanu rzeczy w Polsce — podczas gdy był to wynik fałszerstwa dokonanego przez ruble i pogróżki Stackelberga.

Przyjrzyjmy się jeszcze sprawie wieśniaczej. W jakikolwiek sposób rozwiązano by następnie kwestię włościańską, pańszczyzna musiałaby być w każdym razie zniesioną. Stanowić to musiało nieuchronny krok wstępny. Otwierały się dalej drogi trzy: Ogłosić chłopa wolnym, nie troszcząc się, co z wolnością pocznie i czy na wolności nie będzie przymierał z głodu; własnej ziemi bowiem nie posiadał, a dwór z chwilą zniesienia pańszczyzny nie miałby względem ludu żadnych obowiązków. Drugi sposób polegałby na uwłaszczeniu włościan, tj. oddaniu im na własność używanych dotychczas gruntów dworskich. Nie mogło się to stać bez wynagrodzenia dla dworów, bo te pozbawione naraz pomocy roboczej i w znacznej części (z reguły $^1/_3$)

posiadłości, byłyby skazane na bankructwo. Trzeci sposób był pośredni i już wypróbowany, a mianowicie tzw. oczynszowanie włościan. Był to powrót do stosunków pierwotnych, do systemu dzierżawnego, jak bywało aż do w. XVI. Włościanin miał opłacać dworowi czynsz za używanie pańskiej ziemi, ciesząc się przy tym przywilejem, że dzierżawa była wieczystą, a czynsz nie mógł być z niej podniesiony, ani zamieniany na robociznę (wszak tą drogą powstała pańszczyzna). Kogo stać było, mógł czynsz skapitalizować i grunt nabyć na własność. Ten sposób nie groził ruiną szlachcie, był najzupełniej sprawiedliwy, a otwierał możność uwłaszczenia w miarę, jak rodziny wieśniacze dorabiały się własnego majątku.

Co przodkowie nasi w tych najsmutniejszych i najcięższych czasach czynili dobrego dla „siermiężnej braci", robili to z własnego pomysłu. Polska myśl publiczna okazała i w tym zakresie swą oryginalność, zdatność do obmyślania swoistych form życia. Nadanie stosunkowi chaty do dworu formy dzierżawnej (z dwoma wyżej wymienionymi przywilejami) jest pomysłem polskim.

Nie możemy tu wdawać się bliżej w historię tego przedmiotu. Poprzestajemy więc na stwierdzeniu, że pierwszy raz zabłysnęła ta myśl w prowincji ze wszystkich polskich zawsze najbardziej postępowej tj. w Wielkopolsce, gdzie w r. 1742 spróbował tego systemu kanonik poznański ks. Świnarski. Stamtąd przeszła myśl zdrowa na sąsiednie Mazowsze, przyjęta najchętniej przez zacnego kanclerza Andrzeja Zamojskiego. Rozwinął pomysł i opracował świetnie w szczegółach słynny ks. Paweł Brzostkowski, autor wydanych dla swych dóbr „Ustaw", zapewniających ludowi nie tylko dobrobyt, lecz i oświatę. Około r. 1770 dobra myśl miała już na dalekiej Litwie swych wyznawców i propagatorów. Wszak w r. 1773 ksiądz Kar-

powicz miewał w Wilnie kazania „na obronę chłopską“. Następnego roku wyszła książka ks. Popławskiego pt.: „Zbiór niektórych materii politycznych“, w której obok innych reform domaga się ochrony prawnej ludu wiejskiego. Na sejmie zjawia się sprawa chłopska już w r. 1775, wniesiona tam przez Augusta Sułkowskiego, popierana przez dwóch innych posłów, Frankowskiego i Jezierskiego; powtórnie zaś przy sposobności przedstawienia sejmowi kodeksu Zamojskiego w r. 1780 — i wraz z nim odrzucona, lecz nie pogrzebana bynajmniej. Sprawa zbyt wielka i sięgająca w głąb życia społeczeństwa, żeby mogła być załatwioną od razu (takich reform nie zna historia), wygrywała wiele, skoro nie schodziła już z narad publicznych i stopniowo zbliżała się do załatwienia ustawowego, a tymczasem załatwianą była coraz częściej prywatnie, przez właścicieli dóbr na własną rękę.

Oczynszowanie włościan wprowadzono w dobrach synowca królewskiego, Stanisława Poniatowskiego, podkanclerzego Chreptowicza, Anny Jabłonowskiej, Stanisława Potockiego, Jacka Jezierskiego, Franciszka Bielińskiego, a około r. 1790 stawało się coraz powszechniejszym. Szedł na całą Polskę prąd, którego pochodu nie dało się już wstrzymać. Przyłączył się do niego natychmiast bez wahania, stając w pierwszym szeregu najgorliwszych obrońców praw ludu wiejskiego pewien ziemianin, właściciel dóbr Siechnowicze w powiecie brzesko-litewskim. Nazywał się... Tadeusz Kościuszko.

Rozwój społeczeństwa rokowałby najlepsze nadzieje, gdyby nie przemoc obcych, gdybyśmy byli odzyskali wolność we własnym kraju. Około r. 1780 mieszczanin polski poczuł się na nowo obywatelem, a nad ludem wiejskim rozciągnięto chwalebną opiekę.

Była więc opinia w kraju przygotowana doskonale

do tego, żeby sejm uchwalił wszystkie potrzebne reformy polityczne i społeczne. Ale w r. 1775 Rosja i Prusy zastrzegły się, że do reform nie dopuszczą i groziły nowym najazdem. Narażać się na wojnę po świeżym rozbiorze kraju byłoby nieopatrznością; trzeba było czekać dobrej sposobności. Taki nastrój zastał w Warszawie O. Marek w r. 1786. Ale zaraz w następnym roku, kiedy przyjeżdżał św. Klemens Hofbauer, zdawało się, że nastaną inne czasy. Król pruski poróżnił się z Rosją i sam zaproponował Polsce przymierze. Zapewniał, że nie tylko sam uzna wszystkie reformy w Polsce, ale nawet dostarczy posiłków wojskowych przeciw Rosji, gdyby Rosja się sprzeciwiała nowym ustawom. Zawarto więc traktat jak najformalniejszy, całkiem urzędowo. Sejm, który rozpoczął obrady w październiku 1788 r., nie spoczął, aż przerobił całe polskie prawodawstwo w duchu nowożytnym i obradował aż do maja 1792 r. i dlatego zowie się czteroletnim. Słusznie też nadano temu sejmowi przydomek „Wielkiego". Uchwalono nawet dziedziczność tronu, przyznając następstwo na nowo domowi saskiemu. Armię postanowiono podwyższyć do stu tysięcy. Największym dziełem tego sejmu jest sławna „konstytucja Trzeciego Maja", ogłoszona dnia 3 maja 1791 r., a której pamiątkę obchodzimy dotychczas, uznając słusznie dzień 3 maja świętem narodowym.

Rosja odmówiła uznania nowej konstytucji, a znalazła w Polsce popleczników. Sejm Wielki odebrał bowiem szlachcie bezziemnej wykonywanie politycznych praw obywatelskich, odebrał więc jakby wojsko tym magnatom, którzy chcieli trząść krajem dla swojej prywaty. Ci utworzyli konfederację w mieście Targowicy i przyzwali pomocy rosyjskiej celem przywrócenia dawnych ustaw przestarzałych. I teraz król pruski przymierza nie tylko nie dotrzymał, ale zdradził, zawierając tajne z Rosją przymierze przeciw

Polsce. Nie wiedząc nic o tym, owszem spodziewając się od Prus pomocy, walczyły wojska polskie dzielnie pod dowództwem siostrzeńca królewskiego, księcia Józefa Poniatowskiego. Stoczono w r. 1792 pomyślne bitwy pod Połoninem, Zieleńcami i Dubienką, gdzie odznaczył się generał Tadeusz Kościuszko.

Wtem niespodzianie rozchodzi się wieść, że król Stanisław August zakazał dalszych kroków wojennych przeciw Rosji. W tydzień po wygranej pod Dubienką przystąpił ten król do... konfederacji targowickiej i zakazał dalszej wojny z Moskalami. Była więc Polska całkiem bezbronna wobec Rosji, a tymczasem porozumiewał się Berlin z Petersburgiem o drugi rozbiór Polski w r. 1793. Austria nie brała w tym rozbiorze udziału. Zażądały też państwa rozbiorowe, ażeby wojska polskiego nie było nigdy więcej, jak 15.000. Znaczyło to, że nie pozwolą się nigdy Polsce podnieść.

W roku następnym zabrała się caryca Katarzyna do odpolszczania zagarniętych w dwóch rozbiorach prowincji litewsko-ruskich. Atak rosyjski na polskiego ducha zaczął się od Kościoła; nie śmiano jednak wszcząć od razu prześladowania łacinników, zaczęło się to od unitów. Obie strony, polska i rosyjska, poznały się od początku na tym, że polskość będzie za jedno z katolicyzmem, a rosyjskość z prawosławiem. Rząd Katarzyny ustanowił jakby regułę, której trzymały się wszystkie następne rządy rosyjskie aż do początku XX w., że póty polskości, póki katolicyzmu, że z upadkiem Kościoła runąć musi polskość i odwrotnie, że „Kraje zabrane“ nie będą zrusyfikowane, jeżeli się tam nie poderwie katolicyzmu. Od unitów zaczęto, bo z podobieństwa obrządków łatwiej było wystawić sobie most do prawosławia. Chodziło o to, żeby prawosławie zapanowało na ziemiach polskich zabranych przez Rosję, a pozyskać

dla prawosławia, dla schizmy, łatwiej było unitów. Od niweczenia więc unii zaczęto.

Unia brzeska (1596 r.) szerzyła się pomimo wojen kozackich, lecz powoli i nastał wiek XVIII, zanim ogarnęła ziemie ukrainne na południowym wschodzie Rzeczypospolitej. Dopiero za Augusta III Sasa, a nawet za Poniatowskiego unia zapanowała na tych ziemiach. Nie brak tam było kapłanów, którzy święcenia przyjęli byli z rąk biskupa schyzmatyckiego w Perejasławiu, a potem dopiero przyjęli unię. Grunt był świeży i unia miała tam jeszcze płytkie korzenie. Próbowano je wyrywać już dawniej, mianowicie przez hajdamaczyznę Żeleźniaka i Gonty (o czym wyżej była mowa), kiedy jeszcze prowincje te należały do królestwa polskiego. Teraz, kiedy one przeszły pod władanie caratu, można było wystąpić przeciw unii wprost, bezpośrednio i śmielej.

W r. 1794 wyszedł więc z Petersburga nakaz, żeby unici przechodzili na prawosławie. Na Ukrainie, na Wołyniu i na Podolu nie znajdywał rząd trudności. Za przykładem ruskiego duchowieństwa całe parafie wyrzekały się unii i przechodziły na schyzmę. Gorzej było na Białorusi, bo tam trzeba było cerkwie zabierać przy pomocy wojska i oręża, co stwierdzili sami Rosjanie. Do nowo zabranych cerkwi sprowadzono około 700 popów prawosławnych z Rosji, ale niski poziom ich wykształcenia zrażał raczej do prawosławia. Dochowało się świadectwo gorliwego rządowca rosyjskiego, że owi popi, to byli „sami durnie“, jak się sam ów dostojnik prawosławny wyraził. Ale z tego mała była pociecha dla naszych, bo za najciemniejszym nawet popem stała jednakowo siła żandarmerii carskiej, a w razie większego oporu wojsko. W ten sposób zabrano wtenczas 9316 parafialnych cerkwi unickich i zniesiono 145 klasztorów bazyliańskich i zagarnięto

majątek kościelny. Przepisano na schyzmę osiem milionów unitów. Część ludności wymykała się w ten sposób, że przechodzono gromadnie na obrządek łaciński.

Biada tym, którzy utracą niepodległość! Ze zgrozą przypominano sobie słowa Skargi: „i w obcy się naród zamienicie".

Postanowiono więc próbować jeszcze oporu.

Natenczas stronnictwo narodowe porozumiało się z Kościuszką i w r. 1794 wybuchło powszechne powstanie. Zdarzyło się, że brygadier Kopeć przechodził wtenczas w kwietniu ze swym oddziałem koło Uszomierza, gdzie na nowo zamieszkał ksiądz Marek Jandowicz. Oto własne słowa tego wysokiego oficera:

„Po kilkudniowym marszu przybywszy do miasteczka Uszomierza, chciała brygada, aby O. Marek, za świętego w tym klasztorze i w okolicy miany, udzielił błogosławieństwa; lubo więc dwie godziny było po północy, musiałem się zatrzymać, a ksiądz Marek, wówczas chory, musiał błogosławić brygadę, po skropieniu wodą święconą mówiąc: Idźcie w imię Boga i wynijdźcie! Te krótkie wyrazy cnotliwej i pobożnej osoby jak gdyby wieszczym duchem ogłoszone, wielce wzmocniły żołnierza potwierdzeniem niejako wolą nieba naszego zamiaru".

Szczęściło się zrazu Kościuszce, lecz gdy niespodzianie wojsko pruskie, zamiast pomóc w myśl jawnego traktatu, zatarasowało mu drogę, musiał niefortunnie przyjąć bitwę pod Maciejowicami dnia 10 października 1794 r. Tam cała pierś jego pokryła się bliznami, noga była poszarpana od ostrza bagnetów, a głowa zraniona trzykroć od cięcia pałaszem. Zemdlony od ran dostał się do niewoli, a powstanie upadło. Przeszło dwa lata więziony był przez carycę Katarzynę.

Moskale zajęli Warszawę. Weszli do niej od strony

przedmieścia Pragi, które trzeba było najpierw zdobyć. Smutnej pamięci jest ten ich szturm, bo nastąpiła po nim zaraz rzeź Pragi. Żołdactwo nawet dzieciom nie folgowało, lecz nabijało je na piki! Zamordowali też wtenczas siedmiu Bernardynów, samych starców i kaleków, którzy nie nadążyli na czas ujść przed nimi. Takich ohydnych postępków były nie setki, lecz tysiące. Nie uszanowali nawet grobów. Między innymi padł ofiarą rozbestwienia żołdackiego grobowiec hetmana Czarnieckiego w Czarncy. Rotmistrz rosyjski roztłukł trumnę metalową szukając, czy nie znajdzie przy zwłokach jakich kosztowności. Rotmistrz! (w r. 1936 wzniesiono nowy grobowiec).

Co to za cywilizacja? Nie nasza, nie łacińska; ale też nie bizantyńska, ani nie żydowska. Były to objawy cywilizacji turańskiej, tej, która dała się historii polskiej we znaki w najazdach mongolskich, tatarskich, w wojnach kozackich, i w pełnej zniszczenia i okrucieństw wojnie moskiewskiej za Jana Kazimierza. Niestety, cywilizacja turańska, wtargnąwszy do Polski ponownie podczas rozbiorów, nie miała już z niej wyjść.

Było już więc w Polsce i zostało cywilizacji cztery. Wóz spraw polskich, ciągnięty równocześnie w czterech kierunkach! Czyż może się ruszyć?

W rok po klęsce Maciejowieckiej nastąpił trzeci rozbiór Polski, w której Prusy zajęły Warszawę, Austria Kraków, a resztę Rosja. Stanisław August na żądanie carycy pojechał do Petersburga i tam przez półtrzecia jeszcze roku prowadził życie wcale nieszczególne, stanowiąc przedmiot największej wzgardy samego nawet dworu carskiego.

Skończyło się polskie królestwo. Widzieliśmy, że Polska przestała jako państwo istnieć wtenczas właśnie, kiedy była w pełni wspaniałego odrodzenia; kiedy nie bra-

kowało jej ani oświaty, ani sprawiedliwości społecznej, kiedy obywatele jej byli gotowi przelewać krew w jej obronie, powiększając ciągle wojsko, podwyższając podatki a zrzekając się najzupełniej wszelkiej „złotej“ wolności, pozostawiając te tylko swobody obywatelskie, które potrzebne są zawsze, ażeby zachować godność ludzką w obywatelach i wzbudzać serdeczne zajęcie dla sprawy publicznej. Nie z własnej więc upadliśmy winy, bośmy upadli wtenczas, kiedyśmy się z win oczyścili. Jedyną przyczyną upadku Polski jest upadek zupełny chrześcijańskich zasad w polityce europejskiej, zachłanność i grabież sąsiadów. Lecz nie przestawał istnieć naród polski, a w narodzie nie przestał działać duch Leszczyńskiego, Konarskiego, Staszica, Kościuszki, a sił dodawało pogłębiające się coraz bardziej życie religijne.

## 26. DROBNE PAŃSTEWKA POLSKIE.

W tych samych czasach, kiedy Polacy urządzali u siebie w r. 1791 monarchię dziedziczną, lecz z władzą królewską ograniczoną przez konstytucję, Francuzi wymogli na królu gwałtami prawo sejmowania. Ta reforma rządu połączyła się, niestety, we Francji ze straszliwą rewolucją, która zaczęła się w r. 1789. Po błędach dworu królewskiego nastały gwałty i bezprawia rewolucji, rzezie, tudzież prześladowanie Kościoła. Króla Ludwika XVI uwięziono, a w końcu nawet ścięto publicznie w r. 1793. Ogłoszono rzeczpospolitą. W obronie dawnej państwowości wystąpiły obie główne dynastie niemieckie, Habsburgowie i Hohenzollernowie, ale tym dolali tylko oliwy do ognia. Rewolucja szalała coraz bardziej. Wyrznięto w całej Francji mnóstwo szlachty. Posunięto się do takiej ohydy, iż ścięto nawet wdowę po królu. Rządy rewolucyjne wypędziły księży, zniosły wszelkie nabożeństwa, zakazały wyznawać Boga publicznie, a nawet zaprowadzono nowy kalendarz, żeby już nie zostało nic a nic ze starego ustroju. Od rewolucji miał się zacząć świat na nowo! zwyczajne to przywidzenie rewolucjonistów. W rzeczywistości zaś byliby zatopili całą Francję w morzu krwi... francuskiej.

Od r. 1794 dochodzą tam jednak do władzy ludzie coraz bardziej umiarkowani, zwolennicy konstytucji, ale nie rewolucji. Gdy zaś niemieckie dynastie urządziły powtórną wyprawę, cały naród francuski porwał za broń

i odnoszono świetne zwycięstwa. W tych wojnach wyrobił się cały szereg znakomitych wodzów francuskich, a ponad wszystkich Napoleon Bonaparte. Gdzie tylko się pokazał, zwyciężał.

Republika francuska sympatyczną była Polakom, ponieważ pozostawała w wojnie z dwoma państwami zaborczymi. Mieliśmy wspólnych nieprzyjaciół. Ażeby wojsko polskie nie przestało istnieć, postanowiono urządzić je na ziemi francuskiej. Jesienią w r. 1796 jeździł w tej sprawie do Paryża generał Henryk Dąbrowski. Kadry urządzano w północnych Włoszech, bo kraj ten zajęty był przez wojsko francuskie. W r. 1797 było tam już około 7.000 żołnierzy. Zwrócono się do Kościuszki z wezwaniem, żeby objął na nowo stanowisko naczelnika narodu polskiego.

Kościuszko zwolniony po śmierci Katarzyny przez nowego cara Pawła, wyjechał do Ameryki. Był to już powtórny jego pobyt na drugiej półkuli. Był generałem amerykańskim, bo przedtem jeszcze, nim o niepodległość Polski, walczył był o niepodległość Stanów Zjednoczonych (i stąd ogromna popularność jego nazwiska u Amerykanów). Sprowadzono go z powrotem w r. 1798, bo układ z Napoleonem był już zawarty i spodziewano się pochodu wojennego wprost na Wiedeń. Kościuszko miał objąć władzę jawnie, skoro tylko legiony staną na ziemi polskiej. Tymczasem Dąbrowski sprawował dowództwo wojskowe, miał już 15.000 żołnierza. Nadspodziewanie wojna rozszerzyła się także przeciwko trzeciemu zaborcy, przeciw Rosji.

Ale również niespodzianie zawarł Napoleon pokój, skoro dostał kraje niemieckie aż po Ren i całe Włochy południowe. Nie potrzebował już naszych legionistów i pozbył się ich, wysławszy pod przymusem na murzyńską wyspę w Ameryce, San Domingo, żeby tam tłumili bunt murzyński. Wróciło stamtąd niewielu.

Można sobie wyobrazić, jakim sercem chwytał te wieści z dalekich krajów O. Marek. Mieszkając wciąż w Uszomierzu, przypominał sobie, jak błogosławił żołnierzy Kościuszkowskich, i cieszył się nadzieją, że mimo podeszłego wieku, zobaczy może jeszcze raz wojsko spod tego samego narodowego znaku. Dożył lat 84, ale żołnierz polski zjawił się na Ukrainie dopiero za naszych dni podczas wojny powszechnej. Zmarł zaś O. Marek nie w klasztorze swoim, lecz bawiąc w gościnie w domu Cieńskich w Berezówce na Podolu w powiecie lityńskim, dnia 11 września 1799 r. Zwłoki pochowano w kościele w Horodyszczach.

Wkrótce Napoleon zerwał z republikanizmem, ogłosił się w r. 1804 cesarzem francuskim i zaczął sam rządzić absolutnie. Nowy zaś car Aleksander, stanął na czele koalicji przeciw niemu. Pod Sławkowem na Morawach stoczono dnia 2 grudnia 1805 r. „bitwę trzech cesarzy", w której brali osobiście udział cesarze francuski, niemiecki i rosyjski. Napoleon, jak zawsze, zwyciężył. Zwycięstwo było stanowcze tak dalece, iż większość książąt niemieckich wypowiedziała posłuszeństwo cesarzowi swemu, a uznała nad sobą zwierzchnictwo Napoleona. Cesarz niemiecki, Franciszek II, złożył koronę cesarstwa niemieckiego, a ogłosił się cesarzem austriackim.

W r. 1806 wybuchła nowa wojna Napoleona z Prusami i z Rosją. Tym razem Dąbrowski uważał to już za pewne, że dojdzie do ziemi polskiej i wydał nawet odezwę z zapewnieniem, że sam Kościuszko stanie na czele tej walki. Ale Kościuszko zażądał wpierw od Napoleona zapewnienia, że przywrócone będzie państwo polskie w dawnych granicach. Tego Napoleon odmówił, więc Kościuszko osobiście wycofał się; nie przeszkadzał jednak Dąbrowskiemu. Ten przyłączył się do Napoleona w 18.000 żołnierza i wszedł szczęśliwie nie tylko do Poznania, ale aż

do Warszawy, którą odebrano Prusakom. Byłoby się zajęło jeszcze więcej ziem polskich, ale Napoleon zawarł pokój w Tylży dnia 9 listopada 1807 r. Z Rosją pojednał się, ale Prusy zniszczył, odbierając im kraje i na zachodzie i na wschodzie. Odebrał niemal cały zabór pruski ziem polskich i utworzył z niego Księstwo Warszawskie pod księciem Fryderykiem Augustem, wnukiem Augusta III Sasa. Tego księcia warszawskiego tytułowało się jednakże królem, bo równocześnie rodzinna jego Saksonia wyniesiona została do rzędu królestw. Bądź co bądź, państwo polskie powstawało po latach dwunastu na nowo!

Powstawało, gdy od wschodu, z Petersburga, występował coraz gorszy nacisk na Kraje Zabrane, żeby je odpolszczać. Wiemy, że niweczenie unii stanowiło do tego krok wstępny. Pracował około tego rząd rosyjski nieprzerwanie od r. 1794, gdy w tym otrzymał pomoc najsilniejszą od samych... dostojników unickich. Właśnie za rządów cara Aleksandra I, w r. 1806 zdradzili swą owczarnię uniccy arcypasterze, dwaj arcybiskupi: miński Wiktor Sadkowski i połocki Herakliusz Lissowski, który w tym samym roku został metropolitą. Gdy się to rozniosło, w ciągu najbliższych dwóch lat, 1807 i 1808 około 50.000 unitów przeszło na obrządek łaciński.

Tymczasem w nowo utworzonym Księstwie Warszawskim starano się odrodzić w pełni tradycje polskie.

Ci sami ludzie, którzy uczestniczyli w sejmie Wielkim i w pracach około konstytucji Trzeciego Maja, doczekali się wskrzeszenia państwa polskiego. Małeć ono, ale czyż Władysław Niezłomny dużo zostawiał Kazimierzowi Wielkiemu? Było już 30.000 wojska narodowego, były urzędy polskie i był sejm, chociaż zwoływany być miał co dwa lata i to tylko na dwa tygodnie (Napoleon nie był przyjacielem sejmów). Był kawałek Polski, na którym Polacy mogli rządzić się sami.

A rządzili się dobrze. Włościanom nadano zupełną wolność osobistą, jak polecała konstytucja Trzeciego Maja; zakładano szkółki wiejskie i zaczęto przygotowywać uwłaszczenie, czyli zamianę wieczystych dzierżaw kmiecych na własność. Zaledwie postąpiły prace przygotowawcze do wielkiej tej sprawy, trzeba było obrady pokojowe zamienić w wojenne pochody. Księstwo Warszawskie zaledwie miało czas urządzić się jako tako, gdyż w 15 miesięcy po utworzeniu tego państewka wybuchła nowa wojna napoleońska.

Zwierzchnikiem tego polskiego państewka był Napoleon i z jego zdaniem musiano się liczyć, bo sam byt księstwa związany był z pomyślnością oręża cesarza Francuzów. Gdy on wyraził jakie życzenie co do Warszawy, nie można było nie uważać tego za rozkaz, który musi być spełniony jak najskwapliwiej.

Zbiegiem okoliczności skrupić się to miało na św. Klemensie Hofbauerze i jego „Benonitach". Tak zwano towarzyszy zbożnych jego prac, których ogniskiem był wciąż kościół św. Benona. Sam św. Klemens nie przebywał tam w tych latach bezustannie. Podczas gdy w Warszawie pracowali „Benonici", on sam kilka razy wybrał się w dalekie podróże do Pragi, do Wiednia, do Bawarii, Saksonii, Szwajcarii; a to w tym celu, żeby fundować tam wszędzie i rozszerzać zakon Redemptorystów. Ale w owym czasie rządy państw europejskich pozostawały pod wpływem masonów i nigdzie nie było życzliwości dla zakonów. Święty podróżnik bywał nawet ścigany przez policję i więziony. Francja ówczesna, co dopiero po wielkiej rewolucji, nie sprzyjała bynajmniej Kościołowi. Cesarz Napoleon uważał Kościół za przydatne w danym razie narzędzie polityczne i za nic więcej.

Wydostano tedy od Napoleona dekret odręczny, ka-

sujący klasztor Benonitów. W r. 1808 uwięziono ich wszystkich i wywieziono do twierdzy Kistrzyna nad Odrą, po czym kazano każdemu z nich wracać do miejsca pochodzenia. Św. Klemens udał się atoli dalej, do Wiednia. Osiadłszy tam, jako kapelan Urszulanek, rozwinął istny ogrom pracy i stał się misjonarzem najwyższej inteligencji. Zamienił życie ziemskie na wieczyste w r. 1820. W sam raz tego samego dnia (15 marca 1820) cesarz austriacki Franciszek I. podpisał dekret, zezwalający na założenie klasztoru Redemptorystów w Wiedniu. Ojciec św. papież Pius X, kanonizował apostoła Warszawy w r. 1909.

Prawą ręką św. Dworzaka wśród polskich towarzyszy był w ostatnich latach pobytu w Warszawie ksiądz Jan Podgórski. Urodzony w Płockiem w r. 1775, dostał się bardzo młodo do Warszawy, uczęszczał do szkoły przy kościele św. Benona, wstąpił następnie tam do nowicjatu i został pierwszym i najlepszym towarzyszem św. Klemensa. W r. 1797 przyjął święcenia kapłańskie i pracował przez jedenaście lat jako „Benonita". Jest o nim świadectwo z tych lat, jako „o mężu rzadkiej świątobliwości", a znakomitym kaznodziei głoszącym nauki z takim skutkiem, iż „niezliczone działy się nawrócenia". Ten następca św. Klemensa w Polsce, powrócił z Kistrzyna do Warszawy i pracował jako kapłan świecki; przez jakiś czas był administratorem parafii w Cygowie. Jeździł potem do Wiednia, żeby zasięgać wskazówek od św. Klemensa. Nuncjusz papieski przy cesarskim dworze, poznawszy się na jego wartości, proponował mu arcybiskupstwo nad katolikami Wołoszy, w Bukareszcie, lecz ksiądz Podgórski nie przyjął, spragniony jednej tylko rzeczy, by odnowić w Polsce zakon Redemptorystów. Wrócił do Polski i był czynny w Księstwie Warszawskim, jak tylko się dało.

Jak już powiedziano, Księstwo Warszawskie ledwie

miało czas urządzić się jako tako, gdy w 15 miesięcy od utworzenia go wybuchła nowa wojna. Tym razem Austria wypowiedziała wojnę Napoleonowi w r. 1809. Wojsko Księstwa, korzystając z tego, przekroczyło granice zaboru austriackiego i odnosząc zwycięstwa pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego, zajęło zachodnią część tego zaboru po San. Teraz więc Kraków łączył się z Warszawą i Poznaniem. Armia polska powiększyła się do 85.000.

Teraz był Napoleon przez trzy lata panem całej Europy — po czym w r. 1812 wybuchła wojna francusko-rosyjska. Wojsko polskie przekroczyło Bug, dotarło aż na Litwę! Niechaj sobie czytelnik przypomni, jak Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" opisuje wiosnę 1812 roku. Zaprowadzono rządy polskie aż do Dniepru, a Napoleon wkroczył do miasta Moskwy dnia 14 września 1812 r.

Po miesiącu wracał z Moskwy, nie pobity bynajmniej w polu, lecz wypłoszony strasznym pożarem miasta i wczesną a bardzo surową zimą. Wielka jego armia wymarzła i zagłodziła się; całe wojsko poszło w rozsypkę. On zaś pędził w sankach co tchu do Paryża, żeby na wiosnę przygotować nową armię.

Ale tymczasem przyłączyły się do Rosji także Austria i Prusy. Szczęście wojenne opuściło Napoleona. Przegrał walną bitwę pod Lipskiem — i tam w rzece Elsterze utonął książę Józef Poniatowski. Fortuna zupełnie się odmieniła. Wojska koalicji weszły nawet do samego Paryża.

Wszyscy niemal monarchowie znajdowali się w Paryżu z oddziałami wojsk swoich; był tam również cesarz rosyjski Aleksander I.

W trzy dni po abdykacji Napoleona, Kościuszko napisał list do Aleksandra, żeby się ogłosił konstytucyjnym królem polskim, panującym nad całą Polską, żeby do lat dziesięciu przeprowadził uwłaszczenie włościan i że w ta-

kim razie gotów jest jechać natychmiast do Polski. Pisał Kościuszko o tym do Aleksandra, boć car ten kilka razy przyrzekał wznowienie Polski. Odpowiedź, udzielona dnia 3 maja 1814 r. brzmiała. „Najdroższe Twoje życzenia będą spełnione", bo Aleksander uznaje „wzięte na siebie zobowiązania uroczyste".

Więcej i wyraźniej mówiono sobie ustnie. Kościuszko bowiem przeniósł się do Paryża i widywał się z carem często, mając powóz dworski do dyspozycji. Jak dalece Aleksander dbał o dobre mniemanie u naczelnika, jak mu schlebiał, jak starał się o jego przychylność, świadczy jedno drobne wydarzenie na jednym balu (u księżnej Jabłonowskiej,) gdzie car i wielki książę Konstanty, brat jego, wziąwszy Kościuszkę pod ramiona, prowadzili go przez tłum gości, torując mu przejście i wołając, „miejsca, miejsca, oto wielki człowiek". Jaka zaś była treść ich rozmów, wiemy bezpośrednio od samego Kościuszki, który powoływał się potem na „przyrzeczenia cesarza, mnie i wielu drugim wiadome, powrócenia kraju naszego do Dźwiny i Dniepru, dawnych granic królestwa polskiego".

We wrześniu 1814 r. zebrał się w Wiedniu kongres monarchów i ministrów wszystkich państw europejskich, żeby oznaczyć na nowo granice państwowe, pozmieniane wielce skutkiem wojen napoleońskich. Radzono o losach licznych królestw i księstw, powstałych podczas tych wojen, a więc także o Księstwie Warszawskim. Carowi chodziło o to, by powiększyć granice Rosji; chciał posiąść całe Księstwo. Gdyby Kościuszko stanął na czele stronnictwa rosyjskiego, pomógłby bardzo carowi wobec kongresu. W połowie grudnia poruszył Aleksander całą Polskę odezwami, wzywając do broni „na obronę ojczyzny waszej i bytu politycznego utrzymanie", głosząc, że „staną między wami ci sami dowódcy, którzy wam dowodzili przez lat dwadzieścia".

Kościuszko obstawał przy tym niewzruszenie, żeby Aleksander złączył wszystkie ziemie polskie. Gdyby car zdecydował się na wojnę z Austrią i Prusami, żeby zdobyć tamte zabory, gdyby ogłosił się jawnie królem konstytucyjnym całej Polski, byłby Kościuszko stanął ponownie na czele narodu. Ale obietnice carskie malały ciągle w ciągu następnych miesięcy i okazywało się, że Aleksander chciał tylko wyzyskać nazwisko Kościuszki do swoich celów.

Na kongresie wiedeńskim omal nie wybuchła wojna między sprzymierzonymi zwycięzcami Napoleona. Nie chciano powiększyć potęgi Rosji, która pragnęła zabrać dla siebie cały dawniejszy zabór pruski. Odbywały się targi; proponowano np. znieść odrębność państwową Saksonii, a przyłączyć ten kraj do Prus, jako wynagrodzenie za utracone ziemie polskie. Ale ostatecznie pogodzono się na kongresie, zwłaszcza, gdy zdawało się, że gwiazda Napoleona zabłysnąć może na nowo. Dnia 13 stycznia 1815 r. zawierano układ, którego mocą Saksonia była ocalona, a postanowiono podział Księstwa Warszawskiego pomiędzy wszystkie trzy państwa rozbiorowe.

Galicja zachodnia wracała do Austrii, Wielkopolska do Prus, reszta zaś z Warszawą przechodziła pod panowanie Aleksandra. Miasto Kraków z okręgiem (24 mil kwadratowych) zamieniono na rzeczpospolitą. Było to państewko bez znaczenia politycznego, pozostające w mocy przedstawicieli trzech państw rozbiorowych, których państwa te do Krakowa wysłały, żeby tam sprawowali dozór.

Nie oddawano jednak części Księstwa Warszawskiego Aleksandrowi, jako cesarzowi rosyjskiemu, nie wcielano Mazowsza do carstwa rosyjskiego. Krainie tej nadano pompatycznie tytuł królestwa, postanawiając, że królami jego konstytucyjnymi mają być carowie rosyjscy. To, czym Aleksander miał być w Warszawie, było wręcz przeciw-

ne naturze władzy monarszej rosyjskiej, opartej na absolutyzmie, na przywilejach szlachty a niewoli ludu wiejskiego. Aleksander przyjął jednak te warunki. Nie potrzebując już udawać, jakoby dążył do wznowienia zjednoczonej w jedno państwo Polski, udawał jeszcze nadal zwolennika ograniczonej monarchii, konstytucyjnej formy rządu.

Aleksander chciał posiąść aprobatę Kościuszki dla swego dzieła i zaprosił go w tym celu w marcu 1815 r. do Wiednia. Naczelnik, szpiegowany w drodze, zdążył ledwie na koniec maja przyjechać do Bawarii, gdzie znalazł się car w pochodzie przeciw Napoleonowi, który opuścił miejsce swego przymusowego pobytu (wyspę Elbę), wylądował we Francji i posiadł już znaczne wojsko. Nowe cesarstwo Napoleona miało jednakże trwać tylko sto dni. Ani Francuzi go już nie chcieli, mając do syta wojen, choćby nawet zwycięskich! Wszyscy stęsknieni byli za pokojem.

W Braunau w Bawarii zjechali się tedy Kościuszko z Aleksandrem. Car przyjął go z wszelkimi honorami, ale nie powiedział nic wyraźnego, tylko prosił, żeby Kościuszko koniecznie jechał do Wiednia, a potem jak najprędzej do Warszawy.

Dowiedziawszy się w Wiedniu, że nowe królestwo polskie nie ma obejmować ani nawet całego Księstwa Warszawskiego, oświadczył Kościuszko, że „to jest pośmiech“ i odmówił jazdy do Warszawy. Pisał w tej sprawie do cara, a gdy przez dwa tygodnie odpowiedź nie nadeszła, opuścił Wiedeń i wyjechał do Szwajcarii. Osiadł na resztę życia w miasteczku szwajcarskim Solurze.

Cały naród sądził podobnież, jak naczelnik, że „to jest pośmiech“. Nadano też nowemu tworowi politycznemu szyderczą nazwę „Kongresówki“.

Księstwo warszawskie istniało lat osiem, a nowe „kró-

lestwo polskie" z carem na tronie dwa razy dłużej, lat szesnaście. Bądź co bądź samo wznowienie tytułu królestwa posiadało wartość polityczną. Ale carowie, będąc absolutnymi panami w rozległej Rosji, nie potrafili być monarchami konstytucyjnymi w drobnej Kongresówce, która była przeszło dwa razy mniejsza od poprzedniego Księstwa Warszawskiego i całkowicie bezsilna wobec potęgi rosyjskiej. Z góry było postanowione, że konstytucji nie będzie się przestrzegać, a z czasem całkiem się ją zniesie. Najgorszym zaś było to, że car Aleksander mianował naczelnym wodzem wojska Kongresówki starszego swego brata, Wielkiego księcia Konstantego, człowieka tak dzikiego, że nawet na Rosję był zbyt dziki i nie można go było dopuścić do następstwa tronu. Mówiono o nim, że był na pół małpą, na pół tygrysem, lecz nic a nic człowiekiem. Rządowi Kongresówki polecił car, żeby się stosować do woli Konstantego, nawet w sprawach cywilnych, chociażby rozkaz wydany był tylko ustnie! Zresztą przysłał do Warszawy korpus wojska rosyjskiego, co było bezprawiem. Słowem: Aleksander ani myślał szanować odrębności państwowej maleńkiego królestwa polskiego. Rządy zaś Konstantego były jednym pasmem gwałtów i nadużyć człowieka niepoczytalnego. Bywały nawet bezeceństwa. Nie można wyjść z podziwienia, jak zdołano wytrzymać takie gwałty przez całe 15 lat.

Co się pod takimi rządami dało robić pożytecznego dla narodu, robiono wszystko. Był ruch około gospodarczego podniesienia kraju i krzątano się około poprawy ustroju społecznego. Nie tylko Kongresówka, ale też prowincje bezpośrednio do Rosji wcielone pragnęły pożytecznych reform. Np. zaraz w r. 1817 próbowała szlachta polska na Litwie, czy dałoby się przeprowadzić uwłaszczenie włościan. Ułożyli memoriał i posłali do Petersburga. Po

dwóch latach nadeszła odpowiedź krótka i węzłowata: Kto będzie co mówił o uwłaszczeniu, pójdzie na Sybir! Albo taki przykład: W r. 1821 zajmował się sejm królestwa w Warszawie pytaniem, jak dojść do tego, by w każdej wsi była szkoła — a w dwa lata potem powiernik carski w Warszawie, Nowosilców, wystarał się, że wstrzymano zakładanie nowych szkół.

Pokazało się, że ze wszystkich stanów najwięcej stracił na upadku państwa polskiego lud wiejski. Wszystkie uwłaszczenia i oczynszowania, które obywatele polscy zaprowadzili dobrowolnie po ogłoszeniu konstytucji Trzeciego Maja, rząd rosyjski skasował. Rząd ten nie tylko zaprowadził wszędzie na nowo pańszczyznę, ale cofał rozwój społeczny wstecz jeszcze bardziej, wprowadzając na wzór rosyjski niewolnicze poddaństwo ludu. W krajach zabranych wolno było chłopa sprzedać, tak samo jak w Rosji, bo rząd wprowadził pod tym względem prawo rosyjskie. Nie znalazł się atoli ani jeden szlachcic polski, który by z tego „prawa" skorzystał. Dla polskiego sumienia było to nie prawem, lecz bezprawiem.

Rząd carski uważał nawet prostą wolność osobistą włościan za coś rewolucyjnego. Gdyby nie to, że Królestwo Kongresowe posiadało rząd osobny i swą konstytucję, Rosja byłaby zaprowadziła i na Mazowszu rosyjskie poddaństwo ludu wiejskiego. Nieszczęsnym skutkiem rozbiorów było między innymi i to, że dostaliśmy się pod rządy państw zacofanych w porównaniu z postępową konstytucją Trzeciego Maja. Rządy zaborcze cofały rozwój społeczny polski. Najbardziej zacofaną była zawsze Rosja; szczęściem szlachta polska nie poddawała się wpływom rosyjskim. Była zanadto oświecona, żeby ulegać ciemnocie rosyjskiej.

Na jedno nie mogła jednak poradzić najlepsza wola szlachty polskiej w krajach zabranych, na Litwie, na Wo-

łyniu i Podolu, tudzież w prowincjach południowo-ruskich: oto było w państwie rosyjskim prawo, że tylko szlachcie wolno posyłać do szkół dzieci. Skutkiem tego panowała coraz większa ciemnota wśród ludu, a to pociągało za sobą fatalne skutki na przyszłość. Pod rosyjskim prawem każde pokolenie następne stawało się coraz ciemniejszym, podobnież jak cały naród rosyjski, z nielicznymi wyjątkami szczupłej nader warstwy wykształconej, pogrążał się w coraz większej ciemnocie.

W Kongresówce zdziałano najwięcej właśnie w dziedzinie oświaty. Jeszcze za Księstwa Warszawskiego wznowiono Komisję Edukacyjną, a Królestwo dbało wielce o szkoły, od największych do najniższych. Dość powiedzieć, że w ostatnim roku istnienia tego Królestwa, w r. 1830, było tam analfabetów mniej, niż przed wybuchem wojny powszechnej, a więc przeszło 80 lat potem. Znać na tym przykładzie różnicę rządów polskich a rosyjskich.

Car Aleksander I w sprawach szkół nie krępował Polaków całkiem, byle tylko nie zakładać w krajach zabranych (tj. poza Kongresówką) szkół ludowych. Książę Adam Czartoryski był ciągle kuratorem wileńskiego okręgu naukowego. Zreformował uniwersytet wileński i tak go urządził, że należał do lepszych w Europie. Na Wołyniu zaś, w mieście Krzemieńcu, Tadeusz Czacki urządził „gimnazjum wołyńskie“ (przemienione następnie na „liceum krzemienieckie“) jako szkołę wyższą, a tak doskonałą, iż dziś jeszcze oglądamy się na nią, jako na wzór niejednej rzeczy tyczącej nauczania i wychowywania młodzieży. Z Wilna i z Krzemieńca, jak z dwóch wielkich ognisk, szły promienie polskiej oświaty na cały ten kraj od Inflant aż do Ukrainy. Mała republiczka krakowska robiła też, co mogła, dla podniesienia starego uniwersytetu Jagiellońskiego. Zabierano się do założenia nowego uniwersytetu

w Warszawie; zdążono jednak urządzić tylko dwa wydziały: prawniczy i lekarski, a niebawem nadejść miały gorsze czasy, które nie dały dokończyć rozpoczętego dzieła.

I pod pruskim zaborem zrazu szkoły polskie zostały szczęśliwie bez zmiany. Ale od r. 1824 zaczęto w wyższych klasach gimnazjalnych zaprowadzać powoli i ostrożnie wykłady niemieckie; nie robiło się z tego jeszcze systemu szkolnego, były to dopiero próby.

Zabraną na kongresie wiedeńskim część księstwa Warszawskiego Prusacy nazwali Wielkim Księstwem Poznańskim, nadając nawet pewien samorząd narodowy. Polacy sprawowali tam urzędy, a namiestnikiem króla pruskiego był Polak, książę Antoni Radziwiłł.

Chociaż nie dotrzymano nam ani połowy z postanowień kongresu wiedeńskiego, położenie nasze pod Rosją i Prusami było bez porównania lepsze, niż w czasach następnych. Potem dopiero nastać miały ciężkie czasy.

W zaborze austriackim było natomiast z początku źle, bardzo źle pod każdym względem. W Galicji trwał srogi ucisk narodowy; szkoły były wszystkie niemieckie i ani jednego Polaka na urzędzie. Za czytanie książki polskiej wypędzano ze szkół. Nie pozwalano też zakładać żadnych szkółek wiejskich. Rząd austriacki starał się przy tym usilnie o to, żeby nas zubożyć jak najbardziej. Przeznaczono Galicję na ciemnotę i nędzę, a przy tym starano się ją zniemczyć.

Nie brak było pod zaborem rosyjskim znaków, że nastaną i tam czasy gorsze. Najgorszym znakiem było, że w r. 1823 odebrano księciu Czartoryskiemu godność kuratora szkół. W trzy lata potem kazano szlachcie całej przedstawić dokumenty szlacheckie. Kto nie miał papierów w porządku, tego nie wpisano do ksiąg szlacheckich. Jakżeż miały być papiery w porządku w kraju, który prze-

chodził przez „potop“ i potem jeszcze przez tyle wojen i pochodów nieprzyjaciela? Tylko bogatsi, posiadający zameczki, skarbczyki zamczyste itp. mogli dochować swe papiery familijne w całości; ogół tracił je wśród pożarów drewnianych dworków szlacheckich. Wiedział o tym rząd rosyjski, a spis szlachty urządził umyślnie w ten sposób, iż przeszło połowa rodzin szlacheckich przestawała być szlachtą w oczach rządowych, a skutkiem tego traciła prawo posyłania do szkół dzieci.

Jeszcze gorzej niż za Aleksandra, działo się za jego następcy, Mikołaja I, (1825—1855). Osławiony był w całej Europie „system mikołajowski“, polegający na prawdziwie azjatyckiej despocji, na szpiegostwie, donosicielstwie, na rządach wojskowych i policyjnych rosyjskich oficerów. Szkoła i książka uległy srogim prześladowaniom. Kongresówka stawała się krajem coraz mniej oświeconym i coraz uboższym. Przybywało tylko więźniów politycznych. We wschodnich zaś prowincjach zrusyfikowano wszystkie urzędy i zmierzano do zrusyfikowania szkół. W r. 1822 (jeszcze za Aleksandra) zabrano się do prześladowania młodzieży w uniwersytecie wileńskim. Wywieziono wtedy w głąb Rosji znaczniejszą ilość młodzieży z Adamem Mickiewiczem na czele. Uniwersytet prześladowano coraz dotkliwiej, czekając tylko chwili sposobnej, żeby go zamknąć zupełnie.

Mikołaj I radby był zniweczyć do cna całą Polskę i wytępić Polaków; uważał to za wykonalne, jeżeli się zabrać do tego systematycznie i w pewnej kolejności potrzebnych do tego środków i przedsięwzięć. Ułożono plan, obliczony na długie lata. Ponieważ polskość opierała się na katolicyzmie w przeciwieństwie do rosyjskiego prawosławia, postanowiono zniweczyć katolicyzm, a najpierw w tzw. Krajach Zabranych, tj. na Litwie i Rusi.

Trudną sprawę ułatwiono sobie, rozdzielając ją na części, według zasady: nie wszystko naraz, lecz częściami po kolei. Zacząć tedy od unii, bo podobna jest prawosławiu językiem cerkiewnym i niejedną zewnętrzną stroną obrządków. Prowadzić ostro dalej aż do końca, co zaczęła Katarzyna, co wznawiał Aleksander I. Unię skasować, a potem dopiero zabrać się do łacinników. Gdy się przerobi unitów na prawosławnych, przyjdzie kolej na szerzenie prawosławia pomiędzy katolikami obrządku łacińskiego. Nie wszystko naraz! ale najpierw nabożeństwa dodatkowe po rosyjsku, potem rosyjskie kazania, zmiany w strojach liturgicznych, potem zmiana mszału itd. krok po kroku, aż się zniszczy najpierw unię, a potem łaciński obrządek. A gdy na Litwie i Rusi prawosławie obejmie całą ludność, przyjdzie kolej na ziemię z ludnością czysto polską. Jeżeli kiedy w przyszłości, po latach kilkudziesięciu ogół Polaków będzie wyznawał schizmę prawosławną, czyż to będzie jeszcze naród polski? Jeżeli porzucą religię, tym łatwiej wyrzekną się potem języka i narodowej odrębności. Taki plan powziął Mikołaj I.

Decyzja zapadła podczas podróży carskiej na Litwie, gdy naocznie się przekonywał, jak ścisłe tam zachodzą związki pomiędzy unią a polskością. Niebawem dnia 6 października 1827 r. wyszedł „ukaz" (rozkaz carski), żeby zmuszać na prawosławie i tych także unitów, którzy zmienili obrządek na łaciński, żeby odtąd Polaków nie przyjmować do Bazylianów i żeby dla młodzieży unickiej zakładać osobne szkoły, w których by się przyzwyczajali do prawosławia.

Właśnie toczyła się w Petersburgu nowa wielka sprawa o przechodzenie unitów na obrządek łaciński. Zebrało się takich znowu aż 20,000. Rząd rosyjski był przerażony, boć łacina łączyła się zawsze z polszczyzną. Zapadło po-

stanowienie, żeby się zabrać od razu do niweczenia unii, nie zwlekając.

W sam raz w miesiąc po wydaniu ukazu, z początkiem listopada dowiedział się o tym od dyrektora kancelarii obcych wyznań w ministerstwie (Karłaszewskiego), przebywający w Petersburgu dostojnik cerkwi unickiej, Józef Siemaszko i zgłosił się pisemnie, że podejmie się przeprowadzić zamiary rządu. Złożył w tej sprawie szczegółowy memoriał, datowany 9 listopada 1827 r., z dokładnym planem postępowania. Znalazł się więc trzeci wielki zdrajca, po Sadkowskim i Lissowskim.

Józef Siemaszko ur. 1798, był synem księdza unickiego w Starym Pawłówku pow. lipowieckiego w województwie kijowskim. Ojciec jego mówił i pisał doskonale po polsku; on sam odbył też i początkową naukę w domu w polskim języku i kształcił się dalej w polskich szkołach. W klasach wyższych udzielał lekcji kilkunastu uczniom polskim, a więc w polskim również języku. Sam był następnie uczniem seminarium duchownego w Wilnie, przyjmującego alumnów obydwóch katolickich obrządków. Jedno z próbnych kazań wygłosił w katedrze wileńskiej, spisawszy je sobie po polsku i po polsku oczywiście wygłaszając (rękopis dochował się). Nauczycielami w seminarium byli tylko łacińscy księża. Kształcił się tedy po polsku, lecz Polakiem nie był. Polskie brzmienie jego nazwiska byłoby: Siemiaszko; Siemaszko brzmi po rusku. Był więc Rusinem z pochodzenia, ale poczucia narodowego nie miał w sobie ni ruskiego, ni polskiego; potem wprosił się pomiędzy Moskali.

Niestety, wykształcenie duchowieństwa unickiego było zawsze niedostateczne, znacznie niższe od łacińskiego. Zachodzi jeszcze druga okoliczność. Wiadomo, że katolicki kapłan nie może zawierać ślubów małżeńskich; unickie duchowieństwo ma zaś od Stolicy św. ten przywilej, że

żonatego wolno wyświęcić, a zatem kleryk ruski, jeżeli chce się w ogóle żenić, musi się z tym spieszyć, i pojąć żonę, dopóki nie jest kapłanem, a zatem przed wyższymi święceniami. Żenią się więc wszyscy młodziuchno, zazwyczaj na początku ostatniego roku studiów, bo potem już by się żenić nie mogli (dlatego też owdowiały ksiądz nie może żenić się powtórnie). Zachodzi atoli jeszcze drugie ograniczenie: taki kapłan żonaty nie może sprawować w cerkwi wyższych dostojeństw, które zastrzeżone są dla bezżennych. Celibat jest atoli czymś bardzo a bardzo rzadkim u duchowieństwa świeckiego, zwanego „białym"; toteż do wyższych godności powołuje się tylko zakonników z jedynego ruskiego zakonu Bazylianów, spośród tzw. duchowieństwa „czarnego". Po klasztorach uprawiano tedy nauki; dość powiedzieć, że Bazylianie mieli kilkadziesiąt gimnazjów, w których sami byli profesorami; oni też tylko odbywali wyższe studia teologiczne. Kapłan „biały" nie miał na to czasu, ani sposobów. Nie mógł się uwalniać na jakiś czas od swych obowiązków parafialnych i wyjechać na studia, bo kto mu będzie przez ten czas żywić żonę i dzieci? Trzeba by też szczególnego powołania do nauk, żeby się im oddawać, nie pytając, czy się to na co przyda. Więc taki ksiądz „biały", wiedzący, że nigdy nie będzie niczym więcej, jak skromnym i ubożuchnym (przy kilkorgu dzieciach) plebanem wiejskim, nie garnął się do książek.

Józef Siemaszko miał więcej od innych ogłady, nabytej w tych zamożnych domach, gdzie lekcji udzielał i gdzie się też spotykał z biblioteczkami domowymi; czytywał nie tylko książki szkolne, połapał to i owo z literatury. Wykształcenie jego było nader nierówne i powierzchowne, ale między ślepymi jednooki królem, więc celował między rówieśnikami. Zwrócił uwagę swego biskupa, który sam

doradził mu, żeby się nie żenił. Wiadomo było, co to znaczy; jakoż dzięki temu zrobił dziwnie szybką karierę.

Do jakiego stopnia brakowało cerkwi ludzi zdolnych, znać z tego, że Siemaszko już jako subdiakon, licząc zaledwie 22 lata, był profesorem kleryków w Poczajowie. Wnet został asesorem konsystorskim, a gdy liczył lat 24, był już w konsystorzu oficjałem; tegoż roku protojerejem, kanonikiem, a w r. 1825 został prałatem w 27 roku życia. Sam pisał potem o tej karierze w te słowa: „Co było zresztą robić, skoro biskup nie miał nikogo lepszego? Na bezrybiu i rak ryba". Przebywał stale około zacnego władyki (tj. biskupa) Martuszewicza, który był biskupem łuckim i ostrogskim, a zarazem egzarchą na gubernie wołyńską, podolską i kijowską, ale z wielkich tych tytułów tyle było zaledwie rzeczywistości, iż rezydował w Żydyczynie, w zapadłej mieścinie w jednej ze swych diecezji, w łuckiej. Ale od r. 1822 zmienił Siemaszko miejsce pobytu i to od razu radykalnie na wielkie miasto stołeczne, bo został wysłany na reprezentanta diecezji do tzw. kolegium petersburskiego, które było władzą administracyjną nad wszystkimi diecezjami unickimi. Ponieważ był trochę otrzaskany z językiem rosyjskim (którego inni całkiem nie znali), więc znów był naprawdę potrzebny i wybijał się nadal. Czytał w tych latach ogromnie dużo, ale bez wyboru, a przeważnie po rosyjsku i to głównie powieści. Sam powiadał, że w jednym roku przeczytał aż 400 książek; mogły to więc być tylko takie, przy których nie trzeba się zastanawiać i które niczego nie uczą.

Szybka kariera uderzyła mu do głowy. Chciałby jeszcze wyżej. Godność biskupa nie mogła go ominąć, ale kiedy? czy nie dałoby się przyspieszyć? Ale władyka unicki, to już było dla niego za mało; w unii można nawet zostać egzarchą i być zakopanym na całe życie w jakimś Żydy-

czynie! on pragnie być czymś wielkim na wielkim świecie, a dotychczasowa kariera, jak na młode lata szalona, powinna toczyć się dalej w tempie również szalonym! Dokąd? choćby do największego stanowiska, na metropolitę całego cesarstwa rosyjskiego!

W takim razie trzeba jednak porzucić unię. Myślał też o tym już od r. 1824. Przez trzy lata wahał się jednak, gdy nagle w listopadzie 1827 r. po rozmowie z Karłaszewskim spostrzegł, że chwila jest sposobna i byle ją zaraz wyzyskać, kariera pewna. A był przy tym ogromnie łasy na pieniądze. Spisał więc natychmiast memoriał. Wypracowaniem tym zainteresował się sam car i pytał o życiorys autora. Napisał wtedy swą biografię, przekręcając wiele, ujmując i dodając, nawet zmyślając, wpisując jak najwięcej tego, co się Mikołajowi mogło podobać.

W memoriale zaś kładł nacisk na to, że unia zamienia się w łaciństwo i polszczeje. W naukach kościelnych dla unitów upowszechniał się język polski, a w wielu miejscach używano go nawet do ważniejszych modłów. Sami księża uniccy przechodzą często na obrządek łaciński, zatrzymując żony za szczególnymi dyspensami. U Bazylianów połowa jest Polaków, którzy przeszli na obrządek wschodni, żeby podtrzymywać unię. Dobrze byłoby odebrać Bazylianom gimnazja, ale na razie nie ma ich kim zastąpić; ale trzeba zacząć kasować klasztory bazyliańskie, których czwarta część wystarcza. Trzeba oddzielić Rusinów rodowitych od Polaków obrządku wschodniego. Widział bowiem Siemaszko, jak na każdym kroku od seminarium aż do stolic władyczych, po parafiach i po zakonach, duchowni narodowości polskiej są mocniejsi w wierze, podczas gdy Rusini są jak trzcina na wietrze i do unii wcale nie przywiązani. Rozumiał, że unia runie, skoro tylko nie będzie podtrzymywana przez Polaków.

Siemaszko zastrzegł sobie, że memoriał jego pozostanie sekretnym i rzeczywiście sekretu dotrzymano. W krótkim czasie złożył on jeszce 8 referatów w ministerstwie, między innymi o konfiskatę majątków bazyliańskich i żeby cerkiew unicka miała tylko dwa biskupstwa (eparchie), białoruską i litewską; o nowe urządzenie konsystorzy, o schyzmatyckie księgi cerkiewne, o ścisłe poddanie unii władzy świeckiej na równi z prawosławiem itd.

Do wszystkich szkół średnich, a nawet i niższych wprowadzono naukę języka rosyjskiego, podręczniki szkolne moskiewskie i przepisano wykład w tym języku „choć nauczyciele sami dopiero zaczynali się uczyć tego języka". Wysyłano też odtąd kleryków unickich po dwóch do uniwersytetu petersburskiego, po czterech do moskiewskiego i po czterech do moskiewskiej akademii duchownej. Ale przede wszystkim chciał się Siemaszko pozbyć polskiego żywiołu pośród Bazylianów i dlatego radził pozostawić zakonnikom prawo, żeby mogli przechodzić na obrządek łaciński. Jakoż w tym samym jeszcze r. 1827 opuściło zakon 50 Bazylianów, przechodząc na obrządek łaciński, a liczba ta miała się jeszcze potem zwiększyć. W ten sposób zabezpieczali się, że nie będą zmuszani na schyzmę. A za swe referaty, za rady i współpracę, otrzymywał Siemaszko nie tylko order po orderze, ale też dary pieniężne, setkami a czasem nawet tysiącami rubli, i coraz lepsze posady. W r. 1829 był już z łaski cara biskupem, a liczył dopiero 31 lat życia.

Gdy wiadomości o tym doszły do Rzymu, wysłano do rządu carskiego dwa pisma. Siemaszce powierzono na nie ułożyć odpowiedź. Brzmiała w tym sensie, że wszelkie zmiany, poczynione w Cerkwi, są natury tylko politycznej, a nie religijnej! A tymczasem postępowano sobie coraz śmielej. W r. 1830 zagrabiono klasztor bazyliański w Owru-

czu, słynny z pielgrzymek, a nawet najsławniejszy, a słynący cudownym obrazem klasztor w Poczajowie — tudzież pozamykano wszystkie szkoły bazyliańskie. Kazano w cerkwiach bazyliańskich pousuwać organy, ławki, zaprzestać godzinek i różańców, a powstawiać „carskie wrota", ikonostasy i ubiory prawosławne. W ciągu dwóch lat zamknięto niemal dwie trzecie klasztorów.

Czasy mikołajowskie dawały się też we znaki jedynemu wówczas przedstawicielowi głębszego ruchu religijnego, księdzu Podgórskiemu, Redemptoryście z warszawskiego ogniska „Benonitów". Zbierał swoich dawnych towarzyszy i powiodło mu się po licznych przeciwnościach urządzić dla nich „wspólny dom" w Piotrkowicach. Sam bywał w ciągłych rozjazdach na misje. Najwięcej wypadło ich na lata 1824 do 1828. Bywał z misjami w Krakowskiem i w Kieleckiem. Wyjechał nawet poprzez kordon do zaboru austriackiego, urządzając misje w Sandecczyźnie. Zakon Redemptorystów nie otrzymał jednak rządowego upoważnienia, toteż ksiądz Podgórski bywał narażony na wiele utrudnień i nieprzyjemności, a w Piotrkowicach zdarzały się często rewizje policyjne i zjeżdżały całe komisje, czy też przypadkiem ten wspólny dom nie jest klasztorem?

Równocześnie łamano wszystkie zobowiązania, jakie car miał względem swego królestwa polskiego z racji postanowień kongresu wiedeńskiego z r. 1815. Car był przecież w Warszawie królem polskim i to koronowanym a konstytucyjnym królem Kongresówki. Z konstytucji nie zostało nic, wszystkie prawa zdeptano, a wprowadzano coraz sroższy ucisk.

Ucisk moskiewski doprowadził wreszcie do powstania. Wybuchło dnia 29 listopada 1831 r. bardzo przedwcześnie i bardzo nierozważnie, zanim zostało należycie przygotowane. Przyśpieszono zaś wybuch dlatego, ponieważ rów-

cześnie zaniosło się na powstanie w Belgii przeciwko narzuconemu jej przyłączeniu do Holandii. Car chciał być poskromicielem wszelkich ruchów wolnościowych w całej Europie i zamyślał wyprawić wojsko przeciwko odległym na zachodzie Belgom. Ale nie zamierzał wysłać wojska rosyjskiego, tylko wyznaczał ten pochód wojsku polskiemu z Kongresówki, a na jego miejsce zamierzał wprowadzić do królestwa pułki rosyjskie. Kraj ogołocony z wojska narodowego nie miałby potem żadnej siły do oporu, zwłaszcza że z Belgii wróciłyby tylko zbiedzone resztki armii. Ażeby tedy przeszkodzić carskim zamiarom, przyśpieszono wybuch powstania. W taki sposób Polska ocaliła niepodległość Belgii; lecz utraciła resztki niepodległości własnej.

Powstanie polskie obfitowało wprawdzie w czyny bohaterskie, a nawet w walki zwycięskie, ostatecznie jednak skończyło się przegraną. We wrześniu 1832 r. Moskal panował już w Warszawie. Zaraz następnego roku zamknięto warszawskie Towarzystwo Naukowe, a w r. 1833 uniwersytet wileński, szkołom zaś średnim odjęto cechy polskie i obniżano umyślnie ich poziom. Rząd rosyjski znosił stopniowo wszystkie te urządzenia, które w Kongresówce były lepsze od rosyjskich; starano się zrobić z „Królestwa" rosyjską prowincję. Zrazu były to próby nieśmiałe, lecz stawały się coraz śmielsze — a ten pierwszy prąd rusyfikacyjny miał trwać przez 25 lat.

Austria i Prusy germanizowały także z całych sił, niemcząc szkoły nawet. Wyszukiwano w tym okresie wszelkich pozorów, żeby ścieśniać działalność polskich zakonów. Zaczęło się to od owego „domu wspólnego" w Piotrkowicach, który skasowano z urzędu w r. 1834.

Zostawał jeszcze strzęp niepodległości w republice krakowskiej. Była to czcza komedia niby niezawisłej pań-

stwowości, bo tam przebywali stale przedstawiciele wszystkich trzech państw zaborczych, kontrolując nie tylko każdy urzędowy krok „senatu rządzącego", ale trzymając też społeczeństwo pod ciągłym terrorem policyjnym. Ale przynajmniej języka polskiego tam nikt nie uszczuplał, a szkół przybywało. O tym państewku, odznaczającym się szczupłością, trzeba było jednak powiedzieć, że „lepszy rydz, niż nic".

Tam też podążył ksiądz Podgórski, gdy go wygnano z Piotrkowic w r. 1834, szukając, gdzieby odetchnął swobodniej. Lecz na próżno próbował, czy mu się w tym państewku polskim nie uda zebrać na nowo rozprószonych braci zakonnych, dawnych Benonitów i towarzyszy z Piotrkowic. Nie dano mu ani tu założyć klasztoru. Osiadł w końcu przy klasztorze SS. Norbertanek na Zwierzyńcu pod Krakowem, przy tym starożytnym klasztorze bł. Bronisławy i Judyty Krakowianki. Tam pędził życie zaciszne i odosobnione aż do zgonu w r. 1847 (pochowany w podziemiach tego kościoła). Uginał się prawdziwie pod ciężarem życia. Ze swych zbożnych trudów i zabiegów nie oglądał żadnych owoców; zakon, któremu poświęcił życie, jakby przepadł, i zaginął; a o polskiej sprawie narodowej można było doprawdy zwątpić, bo spadał tylko cios po ciosie.

Zwątpić? Można było, lecz nie należało! Bo czyż może zwątpić w sprawę dobrą dobry katolik, posiadający głębsze wykształcenie religijne? Zawsze trzeba zachowywać nadzieję i pokładać ufność w łasce Bożej. Tego nie brakło takiemu księdzu Podgórskiemu, który modlił się żarliwie za Ojczyznę.

Ale tego właśnie nie dostawało ogółowi ówczesnej inteligencji polskiej. Spostrzegł zapewne czytelnik, jak w ostatnich rozdziałach stosunkowo niewiele dało się

mówić o świętych i świątobliwych. Bo było ich niewielu! Pokolenia owe nie celowały żywą wiarą, a patriotyzm ich nie był przejęty duchem religijnym. W całej Europie zapanowało niedowiarstwo, a Polska nie była niestety lepsza od innych. Dopiero po roku 1831 miała nastąpić poprawa. Zrazu zabłysnęły światła nieliczne, przybywało ich jednakże, przybywało ciągle, aż wreszcie jasność ogarnęła Polskę na nowo. Najpierw nastąpiło odrodzenie religijne, a potem dopiero dostąpiliśmy odrodzenia politycznego. Ten ciekawy tok historii będzie stanowił przedmiot następnych rozdziałów, a będzie przybywało coraz bardziej rodaków i rodaczek świątobliwych.

## 27. WIELKA EMIGRACJA.

Rozdziałem niniejszym rozpoczynamy opowiadanie ostatnich stu lat dziejów naszych. Im coś bliższe naszego pokolenia, tym wszechstronniej nas interesuje, bo nie tylko łatwiej zrozumiałe, ale też widoczniej związane z dniem dzisiejszym. Liczniejsze są nici, łączące nas z bliższymi przodkami. Opowiadanie nasze stanie się z tego powodu bardziej szczegółowe, obszerniejsze — i to pomimo że nie będzie już nowych świętych kanonizowanych, ani nawet błogosławionych, beatyfikowanych z tych ostatnich stu lat. Wiadomo, jak długo trzeba czekać na beatyfikację, a na kanonizację czasem po kilkaset lat! Dlatego też wciągaliśmy i wciągamy nie tylko wyniesionych już na ołtarze, ale także takich świątobliwych, o których przypuszcza się, że zasługują na beatyfikację. Gdyby gdzie w jakim kraju nie było wpierw czci dla świątobliwych, nie byłoby w takim kraju świętych patronów. A któż zdoła przewidzieć, który ze świątobliwych będzie w końcu podniesiony na ołtarze? Gdyby pisać tylko o takich, którzy już przeszli przez beatyfikację, nie można by w ogóle pisać o ostatniej setce lat! A tymczasem w Polsce przyniosły te lata plon świątobliwości tak obfity, iż doprawdy nastał u nas znów nowy okres świętości.

Zaczniemy opowiadanie, jak polska twórczość religijna rozwinęła się nagle. Zanim minął wiek XIX, powstało aż jedenaście nowych polskich zakonów! Nowe zbożne pomysły organizacyjne powstawały tedy dziwnie szybko po sobie. Zaraz pierwsza fala tego wytężonego ruchu religijnego obejmuje jeden po drugim pięć zakonów: męski Zmartwychwstańców, i cztery żeńskie: Służebniczki, Felicjanki, Niepokalanki i Dominikanki polskie. Wszystkie te pracownie wytężonej pracy religijnej powstały w ciągu zaledwie ośmiu lat! Coś tak nadzwyczajnego nie zdarzyło się nigdy jeszcze i nigdzie w całej historii Kościoła powszechnego. Więc jakżeż nie poświęcić temu ruchowi baczniejszej uwagi? czyż można nie zatrzymać się nad tym dłużej i nie roztrząsać bardziej szczegółowo? Nastało bowiem w Polsce wreszcie po r. 1831 odrodzenie religijne, wzmagające się coraz bardziej aż do dni naszych. Zapamiętajmyż sobie: wpierw nastąpiło odrodzenie religijne, a potem dopiero polityczne. Co zaś przy tym szczególnego, że początki tego polskiego ruchu religijnego dokonały się nie w samej Polsce, lecz za granicą, w Paryżu, między emigrantami. Dziwna ta kolej rzeczy wymaga wyjaśnienia:

Hasło wyszło od największego z Polaków, od tego, który sprawował w swym pokoleniu „rząd dusz", od Adama Mickiewicza. Największy nasz poeta był religijny. Kiedy go w r. 1824 wywożono do Petersburga, najlepszemu swemu przyjacielowi, Tomaszowi Zanowi, ofiarował na pamiątkę dzieło św. Tomasza a Kempis „O naśladowaniu Chrystusa", uważane przez Kościół za pierwsze po księgach Pisma świętego. W pięć lat potem wydany był ponownie rozkaz uwięzienia, lecz szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało mu się wyjechać za granicę. Bawił w Czechach, w Niemczech, w Szwajcarii i następnie we Włoszech. W Rzymie spotkał się ze sławnym księdzem Chołoniew-

skim, z którym prowadził długie rozmowy o świecie nadprzyrodzonym. Zaczął też zagłębiać się w dociekaniach nad stanowiskiem Kościoła w dziejach ludzkości. Przyznawał, jako temu kapłanowi winien „wiele pociechy, wiele chwil szczęśliwych i nowy widok świata, ludzi i nauk". Wszystkie też wiersze Mickiewicza pisane w owym czasie, ujęte są na tle religijnym. W umyśle wieszcza powstawa nawet zamysł, czyby nie zostać księdzem. Tymczasem jednak wyrywał się ku stronom ojczystym, bliżej pobojowisk. Jakaś misja, otrzymana od rządu narodowego, skierowała go przedtem do Paryża i dopiero około połowy sierpnia 1831 r. mógł się przemycić w granice Wielkopolski. Zanim zdołał się dalej przedostać do wojującego Królestwa — było już powstanie w upadku. Odtąd przebywał stale w Paryżu, a zajmował się bardzo wiele kwestiami religijnymi.

Po upadku powstania listopadowego kwiat społeczeństwa polskiego musiał uchodzić spod rosyjskiego zaboru i przenosił się za granicę, głównie do Francji. Tam też podążyły resztki wojska polskiego. Rząd francuski wypłacał oficerom i żołnierzom po połowie tego żołdu, jaki pobierali w wojsku polskim. Emigrowali też cywilni, bo car skazał na wieczne wygnanie i konfiskatę majątków 2540 osób, nie mówiąc o licznych tysiącach, skazywanych na więzienie. A nadto nadzwyczaj ostre przepisy cenzury rosyjskiej sprawiały, że literatura mogła się rozwijać tylko za granicą. Gasił też rząd rosyjski światła w Polsce: zniósł wydziały uniwersyteckie w Warszawie, zamknął uniwersytet w Wilnie i liceum krzemienieckie. W dawnych województwach litewskich i południowo-ruskich, dla których utarła się nazwa Krajów Zabranych, pozamykano wszystkie szkoły polskie. Okoliczności te sprawiały, że kwiat naszej inteligencji chronił się do Francji, zwłaszcza do Paryża. Tam zebrało się wszystko, co Polska posiadała naj-

cenniejszego duchowo. Stąd nazwa tej emigracji: Wielka Emigracja.

Nad wszystkimi górował tam Mickiewicz. Znów się namyślał, czyby nie obrać sobie stanu duchownego. Co do tego, mylił się. Powołania kapłańskiego nie miał, tylko chwilową ochotę brał przez jakiś czas mylnie za powołanie. Zresztą w r. 1834 ożenił się.

Pozostało mu jednak na całe dalsze życie szczególne zainteresowanie do wszelkich kwestii religijnych i szerzył religijność koło siebie. „Rzecz to była niesłychana i prawie cudowna (słowa ks. Jana Koźmiana) widzieć, jak na emigracji powoli wykłuwała się w bólu i trudzie myśl katolicka, kojarząc w jedno ludzi dobrej woli, znużonych szukaniem prawdy, a uspokojonych i uszczęśliwionych tym, że ją znaleźli. Napadano na nich to rozumowaniem, to oburzeniem, to ironią, a oni trwali i wzmacniali się i nabierali przekonania, że trzeba poświęcić wszystkie względy ludzkie".

Trzeba bowiem wiedzieć, że w gronie skupiającym się około największego wieszcza narodowego (któż by nie chciał zaliczać się do jego znajomych?) nikt a nikt nie był bogobojnym katolikiem od początku. Zachodził tam szereg nawracań z większej lub mniejszej obojętności religijnej. Poznajmy się bliżej z takim, który przed nawróceniem stał jak najdalej od Kościoła, w szeregach jawnych katolicyzmu wrogów, a który następnie stał się filarem ruchu religijnego:

Bogdan Jański, urodził się w r. 1807 w Pogorzelcu w Płockiem, w rodzinie ziemiańskiej, od dłuższego czasu ciągle niestety ubożejącej. W uniwersytecie musiał się utrzymywać z lekcji, a był uczniem tak pilnym, iż ledwie 19 lat licząc, otrzymał stopień magistra prawa. Szczególniej przykładał się do nauki ekonomii politycznej. Profesor

tego przedmiotu, hr. Fryderyk Skarbek (autor cennych dzieł naukowych, które dotychczas nie utraciły wartości), wystarał mu się o stypendium rządowe, żeby mógł wyjechać do Paryża i tam przysposobić się na przyszłego profesora prawa handlowego.

W paryskim wirze interesował się nowymi prądami, a że ledwie mu mijało 20 latek, więc przylgnął nie do najrozumniejszego, do „sęsimonizmu", zwanego tak od swego twórcy hr. Saint-Simona. Był to tęgi fizyk i inżynier, a w ówczesnej Francji inżynierowie właśnie najwięcej filozofowali i radzili, jak ludzkość przerobić. Pomysły ich, chociaż błędne i niewykonalne, pochodziły bądź co bądź z dobrej woli, a hr. Saint-Simon należał wśród nich do najpoważniejszych. Umarł był na dwa lata przed przyjazdem Jańskiego do Paryża. Niefortunni uczniowie doprowadzili niektóre punkty nauk swego mistrza do absurdalnego komizmu i przekręcili je na wielce rewolucyjne. Naukę mistrza każdy przeinaczył według swoich urojeń, a w pewnym odłamie niby „sęsymonistów" zjawił się rodzaj socjalizmu; znalazła się nawet grupa, która zajęła się aż układaniem nowej religii, mającej zapewnić każdemu raj na ziemi. Powstawała sekta, złożona z wykolejeńców i dziwaków. Niektórzy posuwali się do tego, iż głosili wspólność kobiet. Wywodzili zaś wszyscy swe urojenia z błędnie tłumaczonej zasady braterstwa i wzajemnej życzliwości. Jednej grupie dziwaków zdawało się, że wymyślili sposób, żeby te cnoty zaszczepiły się ostatecznie w ludzkiej naturze. Wynalazek polega na tym, żeby nosić kamizelki zapinane z tyłu, na grzbiecie. Nikt jej sam sobie nie zapnie! Trzeba do tego pomocy „brata" — i tak zaraz od samego rana będziemy sobie wzajemnie uczynni, pomocni. Urządzali pochody propagandowe po ulicach Paryża, paradując w tych kamizelkach. Zeszli na publiczną

zabawkę Paryżan. Gdy atoli w swej „osadzie“ zaczęli jawnie również uprawiać wspólność kobiet (z reguły nierządnic), władza ich rozpędziła i skończył się cały „sęsymonizm“, zganiany całkiem niesłusznie na Saint-Simona, któremu się o żadnych wybrykach nie śniło.

W ten nierozum i w ten brud wpadł nasz warszawski stypendysta, uniesiony młodzieńczą wyobraźnią i naiwnością. Udział w gadaniu i pisaniu urojeńców zabierał mu czasu więcej, niż studia prawa handlowego; te jednak nie całkiem były opuszczone, gdyż dochowały się z tych czasów jego zapiski naukowe i ułamki rozpraw, tylko że ani jednej nie doprowadził do końca. Znać, że oduczył się pracy systematycznej. Umysł jego zanurzany przez trzy lata w mętnych wirach jakiejś niby religii, stawał się coraz bardziej chaotycznym. W jednym tylko umacniał się, w niechęci do Kościoła. Kiedy po wybuchu powstania w listopadzie 1831 r. układał odezwę do Francuzów, zamieścił w niej pochwałę narodu francuskiego, że „z największym w świecie zapałem wyswobodziłeś się z dawnego despotyzmu polityki i religii“. Liczył wtedy wieku swego lat 24.

Jański zbliżył się oczywiście od razu do emigracji. Szczęśliwym dla siebie zbiegiem okoliczności dostał się pod wpływ Mickiewicza (przez jakiś czas mieszkali nawet w jednym domu) i po dwóch latach stał się katolikiem nie tylko ze chrztu i metryk, ale z przekonania. Z Szawła zrobił Mickiewicz Pawła. Zaczęło się to od współpracownictwa w wydawanym przez Mickiewicza piśmie emigracyjnym „Pielgrzym“ od wiosny 1833 r.

Umieszczał tam wiersze patriotyczne także słynny potem Hieronim Kajsiewicz, młodziutki oficer powstania, ur. w r. 1812 nad Niemnem w Augustowskiem. Do gimnazjum uczęszczał w Sejnach, a potem jako student praw uniwer-

sytetu warszawskiego przerwał studia i wstąpił do ułanów. Ciężko ranny w bitwie pod Nową Wsią, cięty pałaszem przez twarz, przez oko, nosił tę szramę do śmierci; wyleczony w szpitalu w Puławach, udał się potem z innymi na emigrację. Zamieszkał początkowo dość daleko od Paryża, w mieście Angers, gdzie należał do rewolucyjnych tajnych stowarzyszeń, a przy tym był sławnym wodzirejem tańców na wszelkiego rodzaju balikach, nazywany znacząco „najcieleśniejszym z cielesnych". Wpłynął na niego jednak religijny pierwiastek, który wybijał się w „Pielgrzymie" coraz wyraźniej, a w końcu potem niejeden taki Kajsiewicz został zakonnikiem.

Zaczął się ruch religijny od tego, że szczupłe grono osobistych znajomych zbierało się co piątku na mszę św. a potem szli do Mickiewicza i tam u niego czytywali Pismo św. i debatowali o sposobach odzyskania niepodległości, opierając miłość Ojczyzny na miłości Boga.

Pod koniec r. 1834 ośmiu wybitnych emigrantów z Mickiewiczem na czele założyli bractwo „Braci Zjednoczonych", mające stać się trzonem katolickiego obozu na emigracji. Akt założenia spisano i podpisano dnia 19 grudnia 1834 r. po spowiedzi i wspólnej komunii św. Podpisali się własnoręcznie: Adam Mickiewicz, Antoni Górecki, Stefan Witwicki, Cezary Plater, Bogdan i Józef Zalescy, Ignacy Domejko, Bogdan Jański. Hasłem ich było: „Służcie Bogu Polacy, a Bóg zbawi Polskę". Grono to zwiększało się następnie, lecz nigdy nie liczyło ponad 30 członków. Przyjmowano na „Braci" tylko osoby jak najbardziej dobrane i jak najsurowiej wybadane co do katolicyzmu.

W ciągu r. 1835 najważniejsze były dwa nawrócenia:

Dnia 15 stycznia 1835 r. wracał do Kościoła syn marnotrawny o niezwyczajnej przeszłości: Piotr Semeneńko, ur. w r. 1814 we wsi Krypno, położonej między Tykoci-

nem a Krzyszynem na Białej Rusi. Dziad jego był unitą i szlachcicem polskim, a ożenił się z kalwinką. Zmuszono go, że oddał syna do korpusu paziów w Petersburgu. Tam wychowany i zrusyfikowany, przepisany na prawosławie, odbył następnie kilka lat służby wojskowej, po czym został urzędnikiem cłowym w okolicach Tykocina. Gdy w 1814 r. przyszedł na świat Piotr, zawieziono go do cerkwi parafialnej na chrzest. Przypadek zrządził, że popa tego dnia nie było na miejscu; odniesiono więc dziecię do kapłana katolickiego. W ten sposób Piotruś wracał do katolicyzmu i to w obrządku łacińskim. Następnie w szkole u OO. Misjonarzy w Tykocinie przystąpił po katolicku do Sakramentów św. Gdy się o tym dowiedziała babka, kalwinka, zamieszkała w Tykocinie, zbiła chłopca i odesłała do ojca. Ten atoli pomny przeszłości rodu i w duchu utrzymujący jego tradycje, synka pochwalił. Wyprawił go dalej na nauki gimnazjalne w Białymstoku i w Krożach, gdzie skończył szkołę średnią w r. 1829. Studiował następnie w uniwersytecie wileńskim, lecz gdy wybuchło powstanie, rzucił studia i poszedł do szeregów, chociaż był tak wątły, że z początku ledwie mógł podawać kule armatnie. Wszakżeż liczył nie całych 17 lat! Potem na emigracji gorzej się spisywał. Stracił całkiem łaskę wiary i należał do skrajnych najczerwieńszych rewolucjonistów, tak dalece iż policja francuska ścigała go przez dwa lata bez ustanku z miejsca na miejsce. Przytulił go wreszcie Bogdan Jański, z którym wywiązała się przyjaźń, a skutek był taki, że Piotr Semeneńko, nawrócony, stał się jednym z najgorliwszych katolików na emigracji.

W czerwcu tegoż r. 1835, dzięki głównie rozmowom z Mickiewiczem, przystępował do Sakramentów św. u Benedyktynów w Solesmes niedaleko Paryża Hieronim Kajsiewicz.

Mickiewicz sięgał myślą najdalej, aż oświadczył jawnie: „Na nic się to wszystko nie zdało, trzeba dla Polski zakonu".

Od r. 1835 starano się zebrać fundusze, żeby gdzieś na dalszym przedmieściu wynająć na początek mały domek, w którym zamieszkaliby razem ci z nieżonatych „braci", którzy by mieli ochotę i przekonanie do życia wspólnego, ujętego w pewne wspólne formy. Kierownictwo „domku" powierzono na zlecenie Mickiewicza Bogdanowi Jańskiemu. Otwarto go w popielec 1836 r. Pierwsi wprowadzili się dwaj powstańcy: oficer Kajsiewicz (ów taneczny) z pozyskanym na paryskim bruku przyjacielem, byłym żołnierzem Semeneńką. Kajsiewicz młodszy był od Jańskiego o 12 lat, a Semeneńko jeszcze o jeden rok młodszy. Potem wprowadzali się inni, między nimi były prof. uniw. warszawskiego Józef Hube. Jański przesiewał kandydatów, wymagając wysokiego nastroju ducha i bogobojności wszechstronnej, a obok tego także wyższego wykształcenia naukowego. Trzeba zaś było wyrzec się nie tylko wszelkiej wybredności, lecz nawet najprostszych wygód. „Majątek był tak znaczny, żeśmy bielizny na siennikach nie mieli, sami na targ za kupnem chodzili, sami gotowali z niebezpieczeństwem otrucia się nieraz". Biedota ta złożyła się w r. 1837 na dwa franki, jako składkę, na wznoszony w Krakowie kopiec Kościuszki. Był to prawdziwy „grosz wdowi".

Pogłębiające się życie religijne parło najgorliwszych, by zostać kapłanami; jakoż sześciu z nich wyświęciło się następnie. Pierwszymi byli znowu Kajsiewicz i Semeneńko. Uczęszczali od r. 1836 do istniejącego w Paryżu kolegium św. Stanisława, gdzie uczyli się w spokoju, nawiedzając co niedzieli i czwartku braci pozostałych „w domku" i tak było do lata 1837 r. We wrześniu 1837 r. wybrali się do

Rzymu; w następnym podążyli za nimi Hube i Duński, a w r. 1839 Kaczanowski.

Wyludniał się „domek“, bo świtała już myśl, żeby „zjednoczeni bracia“ przenieśli siedzibę swą do Rzymu, żeby tam pogłębiali studia teologiczne, i żeby w mieście papieskim kłaść fundamenty pod nowy polski zakon. Nie można było jednak zakonu zakładać, póki się nie miało odpowiedniego grona wyświęconych kapłanów; trzeba było trochę jeszcze poczekać.

Chodziło zaś przy tym o sprawę narodową pierwszorzędnej doniosłości. Stolica apostolska nie była należycie informowana o stanie Kościoła w Polsce pod rządami zaborczymi, zwłaszcza pod rosyjskim. Utraciwszy niepodległość, straciliśmy tym samym własną dyplomację, reprezentantów przy rządach obcych państw, a więc nie mogliśmy też mieć swego ambasadora przy Watykanie. Rzadko kiedy zajechał do Rzymu jakiś biskup polski. Nie łatwo było wówczas podróżować w daleki świat, ale jeszcze trudniej było dostać od rządu pozwolenie na podróż do stolicy papieskiej. Lata całe mijały, a kuria apostolska posiadała o Polsce informacji tyle, ile ich udzielił papieżowi... poseł rosyjski. Chodziło więc o to, żeby utworzyć w Rzymie polskie ognisko zakonne, złożone z zakonników o wysokiej inteligencji, które by zasługiwało na zaufanie watykańskiego dworu, a stanowiłoby stałą stację informacyjną. Można by się wyrazić, że chodziło o utworzenie polskiego konsulatu duchownego w Rzymie. Ta myśl kiełkowała równocześnie u kilku osób, bo prawdziwą potrzebę rozumiano powszechnie. Zajęci byli tymi planami świeccy przodownicy katolickiego obozu na emigracji: książę Adam Czartoryski, generał Władysław Zamojski, tudzież Adam Mickiewicz. Równocześnie zaś ktoś, kto tamtych wcale nie znał, i ze „zjednoczonymi“ spotkał się dopiero po raz pierwszy w Rzymie:

W r. 1838 zapoznał się w Rzymie z tym gronem słynny apostoł Azji i Afryki, jezuita Maksymilian Ryłło, przebywający wówczas czasowo w Rzymie. Imponująca to postać, a jedna z najciekawszych całej historii XIX w. Łączyły się w nim wielki rozum z wielką przedsiębiorczością, a żarliwa miłość chrześcijańska z roztropnością. On stał się twórcą wielkiego seminarium generalnego dla misji afrykańskich, tudzież twórcą słynnego następnie uniwersytetu w Beyrut w Azji Mniejszej. Pochodził z uboższej szlachty polskiej w województwie grodzieńskim powiatu wołkowyskiego, urodzony we wsi Podorosk r. 1802. Jesienią 1837 r. bawił na Libanie i w Palestynie. W wigilię Bożego Narodzenia odprawiał mszę św. przy grobie Zbawiciela w Jerozolimie, a do mszy tej służył mu Juliusz Słowacki. On też nakłonił potem wkrótce tego wielkiego poetę, że się wyspowiadał. Było to na Wielkanoc 1838 r. w Syrii w klasztorze na górze Libanu. Jesienią tegoż roku przybywszy do Rzymu, roztoczył O. Ryłło opiekę nad młodymi księżmi i klerykami polskimi, sposobiącymi się do zamierzonego zakonu; gdyby nie jego przedsiębiorcza roztropność, nie byłoby może środków na osiedlenie się w Rzymie. Świadczą zaś ci patriotyczni zakonnicy, że ks. Ryłło pierwszy obudził w Rzymie sprawę Kościoła polskiego i dzięki jemu Stolica apostolska zwracała odtąd zdwojoną baczność na to, co się w Polsce dzieje i co się dzieje z Polską.

Jak daleko sięgało ramię rosyjskiej policji, znać z faktu, który dziś wydaje się nie prawdopobny, że nie chciano alumnów z domu Jańskiego przyjąć w Rzymie do seminarium duchownego, bo przeszkadzało temu poselstwo rosyjskie przy Watykanie! W kancelarii tego poselstwa przestudiowano z największą gorliwością wszystkie przepisy i formalności potrzebne, żeby móc być przyjętym do

seminarium. Seminaria są z reguły diecezjalne, obliczone na kleryków z tej samej diecezji. Jeżeli kandydat jest z zewnątrz, oczywiście że musi się wiedzieć, z której jest diecezji, i żąda się, żeby się wykazał poświadczeniem i zezwoleniem swego biskupa. Tego uczepiło się poselstwo rosyjskie; zwracało uwagę, że przyjęcie naszych sprzeciwiałoby się przepisom kanonicznym itp., słowem Moskale okazali ogromną troskę o rzymskie seminarium, żeby tam wszystko było w porządku. Nasi pochodzili z diecezji pod zaborem rosyjskim, a biada byłoby biskupom polskim, którzy by wydali poświadczenie klerykom, którzy byli oficerami w powstaniu 1831 r. Ostatecznie jednak nasi dali sobie radę, uzyskawszy wszystkie potrzebne formalności u arcybiskupa paryskiego.

Więc przyjęto ich w końcu. Utrzymanie znaleźli, podjąwszy się dozorować dzieci w jednym z rzymskich zakładów sierót. Mieszkali wspólnie, a na mieszkanie i strawę mieli po 15 groszy dziennie na osobę.

Tymczasem nawiązała się korespondencja między ks. Ryłłą w Rzymie a Jańskim w Paryżu. Jański likwidował już stopniowo „domek" paryski, z czym łączyły się różne sprawy i interesy, wymagające, żeby ktoś na miejscu wszystkiego dopilnował. I o swej osobie chciał Jański postanowić coś ostatecznie. Przez jakiś czas myślał o zakonie Benedyktynów, a czasem o ascetycznych Trapistach. W późniejszych zapiskach o nich ks. Kajsiewicza, czytamy, co następuje: „W ciągu tego ruchliwego i kłopotliwego życia w Paryżu wybiegał często do Mortagne, głównego domu Trapistów (zakon reguły najsurowszej), otrzymał był nawet dla nas (tj. dla Braci Zjednoczonych) affiliację (tj. udział) do modlitw i zasług tego pokutującego zgromadzenia. Ostatniego roku (1839) zabawił tam do trzech miesięcy. Zapiski jego, tyczące się osobistych potrzeb duszy i przy-

Wydawca, miejsce odbicia, miejsce wydania: Drukarnia Tow. Św. Michała Arch. w Miejscu Piastowym, pow. Krosno.